

A classical oil painting of René Descartes, showing him from the chest up. He has long, dark, wavy hair and a mustache. He is wearing a dark, high-collared garment with a white ruffled neckpiece. The background is dark and textured.

RENÉ DESCARTES (KARTEZJUSZ)

---

**Rozprawa  
o metodzie**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

RENÉ DESCARTES

# *Rozprawa o metodzie*

DOBREGO POWODOWANIA SWOIM ROZUMEM I SZUKANIA PRAWDY W NAUKACH

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# OD TŁUMACZA

Nie zapomnę tego wrażenia... Było to rok temu, w lecie, z początkiem czwartego roku wojny. Siedziałem w mojej izdebce dyżurnego lekarza wojskowej stacji opatrunkowej, i korzystając z chwilowej bezczynności, pracowałem nad pierwszymi rozdziałami tej książki. Tuż prawie pod oknami ochoczo rznąła orkiestra, odprowadzając kilka *marszkompanii*, jadących, w ślicznych nowych butach, na „włoski front”. Na fali trywialnej melodii, myśl Descartes’a pędziła wartko, skocznie, radośnie, tak iż ledwo piórem mogłem jej nadążyć. Doznawałem szczególnego uczucia. Nigdy nie mam zbyt mocnego przeświadczenia o *rzeczywistości* zewnętrznego świata — w tej chwili miałem go mniej niż kiedykolwiek...

Puszczam w świat tę książeczkę, opatrując ją sensacyjną opaską „*Tylko dla dorosłych*”. Na interpelację w tym kierunku mógłbym odpowiedzieć, iż istotnie, książka ta nadaje się tylko dla dorosłych, ponieważ dla młodzieży jest zbyt poważna; ale wolę wyznać szczerze, iż za pomocą tego niewinnego podstępku pragnąłem wyzyskać moją reputację „gorszącego” pisarza, i, w niezawodnym sposobie, skłonić publiczność do przeczytania tego dziełka, skazanego, w zwyczajnych warunkach, na pleśnienie na półkach nielicznych bibliotek naukowych<sup>1</sup>. Dla wielu zaś powodów życzylibym gorąco, aby *Rozprawa o Metodzie* znalazła się w rękach wszystkich tych, którzy dotychczas chętnym udziałem swoim jako czytelnicy wspomagali moją pracę.

Mam wrażenie, iż w sądach o piśmiennictwie francuskim jak również i o duchu francuskiej rasy panuje wśród ogółu wiele przesądów i uprzedzeń. Bieżąca książka francuska, ta, która w charakterystycznej żółtej okładce znajduje się we wszystkich rękach, zawdzięcza powodzenie przede wszystkim temu, iż krąży jako książka „lekka”; oto zwyczajne godło, które jest do niej przyczepione. Tych czytelników, którzy zechcieli głębiej wniknąć w kulturę galijską przez obcowanie z najwyborniejszymi jej duchami, również, przy czytaniu *Kubusia Fatalisty*, *Listów perskich*, a nawet nieraz i *Prób* Montaigne’a musi uderzać lekkość tonu, o wiele nieraz przekraczająca granice, jakie zwykła zakreślać etykieta „poważnego” myślenia. Stąd wynika, iż ten swoisty wdzięk literatury francuskiej bywa poczytywany jej za ujmę i ściągają na nią zarzut *powierzchnowości* lub *blagi*; toż samo dzieje się i z naukowym piśmiennictwem francuskim, któremu wiele osób, wychowanych na innym stylu, poczytuje żywość i barwność formy za niedostatek „ścisłości”. Nie tak mniemano o duchu francuskim w owych świetnych epokach polskiego życia umysłowego, w których zwracano w tamtą stronę wzrok chciwy światła i wiedzy; ale przyszły potem długie dziesiątki lat innych, obcych wpływów, przez które to lata sączono w nas bardzo mylne i nie odpowiadające naturze naszej pojęciu o „powadze” i „głębi” naukowej.

Wyobraźmy sobie dwóch siłaczy żonglujących ciężarami. Któryż będzie mistrzem w swojej sztuce; czy ten, który, po mnóstwie wstępów i przygotowań, dźwiga swój ciężar, pocąc się i sapiąc, tak że zdajemy sobie sprawę z całej jego *wagi* i z całej sumy włożonej w to *pracy*, czy ten, który, z doskonałą swobodą ruchów, z żartobliwym uśmiechem, przrzuca z ręki do ręki stufuntowe kule, tak jakby to były ciężarki z tektury? Lekkość i wdzięk jest niezawodnym przejawem pewności, precyzji i siły; ale patrząc na nie, zapomina się znowu zbyt łatwo, ile pod tą swobodą — obok wrodzonego daru — kryje się pokonanego trudu, ile metody i wytężonego systematycznego ćwiczenia. Pokazać ducha francuskiego, tego niezrównanego żonglera pojęć i idei, przy warsztacie olbrzymiej pracy myślowej, w jakiej przez kilka wieków przodował i dawał pobudkę całej Europie, jest celem, dla którego ogłaszam niniejszą książeczkę. Jest ona prawie że konieczna dla istotnego, szerszego zrozumienia całości literatury francuskiej aż do jej najbardziej specyficznych rozgałęzień. Nie mam wcale ochoty robić paradoksów, nie leży to bynajmniej

Siła, Literat, Sztuka,  
Obyczaje

<sup>1</sup>pragnąłem wyzyskać moją reputację „gorszącego” pisarza, i, w niezawodnym sposobie, skłonić publiczność do przeczytania tego dziełka, skazanego, w zwyczajnych warunkach, na pleśnienie na półkach nielicznych bibliotek naukowych — Istotnie, już po ukończeniu tej pracy, dowiedziałem się, iż *Rozprawa o metodzie* ukazała się w polskim języku w r. 1878 i została dostojnie zamarynowana jako 1 tom *Biblioteki filozoficznej*. Cieszę się, że nie wiedziałem o tym, gdyż byłoby mnie to zapewne odwróciło od zamiaru przekładania jej samemu i pozbawiło wielu miłych wrażeń. Może zresztą i praktycznie przyda się moja praca, gdyż, jak mi mówił jeden ze słuchaczy, studenci seminarium filozoficznego czytają obecnie *Rozprawę o metodzie* po niemiecku... [przypis tłumacza]



w moim usposobieniu, ale całkiem szczerze wyznaję, iż pomiędzy piosenką *Chat-noir*<sup>2</sup> a *Rozprawą o metodzie* istnieje dla mnie bardzo ścisły związek organiczny<sup>3</sup>.

Przy tym, rzecz osobliwa, zabawna, ale którą trzeba mimo to powiedzieć! W epoce, w której żył i działał René Descartes, świat naukowy stanowił jeszcze odrębną „Republikę”, powleczone kosmopolitycznym pokostem latynizmu. Dziwną igraszką trafu, nazwisko uczonego przeszło poza granice Francji wyłącznie w łacińskiej formie *Kartezjusza*, a tym samym „odnarodowiło” go poniekąd; tak, iż śmiało pozwolił sobie twierdzić, że nawet wśród oświeczonej publiczności wymawiającej na wiarę podręczników z respektem imię tego, który wyrzekł słynne *cogito ergo sum* (*coito*<sup>4</sup> *ergo sum*, jak mówi jeden z moich znajomych, haniebnie podporządkowując gramatykę sensowi), mało kto zastanawiał się, do jakiej właściwie narodowości należał ów mityczny „Kartezjusz”. Tak, mało kto z ogółu wie, że ten geniusz, którego twórcza myśl stała się podwaliną zarówno nowożytnej nauki jak i filozofii, był z krwi i kości Francuzem, urodzonym w tej samej ziemi tureńskiej, która wydała Rabelais’go i Honoriusza Balzaka.

Był Francuzem, i swoją *Rozprawę o Metodzie*, stanowiącą epokę w dziejach myśli ludzkiej, napisał, wbrew zwyczajom ówczesnego świata naukowego, w mowie ojczystej, umyślnie, jak mówi, aby się mogła znaleźć w rękach wszystkich. Znamienną dla kultury francuskiej — od Montaigne’a aż po najnowsze czasy — jest ta dążność do kruszenia barier dzielących „fachową” mądrość od świata profanów. I język, jakim ta książka przemawia, jest językiem zdolnym trafić do uszu każdego myślącego człowieka. Dziwne wzruszenie ogarnia, kiedy się czyta pierwsze rozdziały *Rozprawy*, tę poufałą, koleżeńską niemal spowiedź, w jakiej Descartes dzieli się z nami historią wędrówki swego ducha. Nigdy chyba skromniejsze słowa nie zawierały bardziej olbrzymiego procesu duchowego. Mimo woli ciśnie się na usta początek wielkiego monologu Fausta:

*Habe nun ach! Philosophie,  
Juristerei und Medizin,  
Und, leider! auch...<sup>5</sup>*

Wstaje przed nami ów legendarny mędrzec oblezony w ciało... Tylko — w prostej, spokojnej opowieści Descartes’a nie znaleźlibyśmy ani jednego słowa goryczy i zwątpienia; tylko, kiedy znalazł się na tej zawrotnej przelęczcy, był nie podeszłym starcem, ale genialnym dwudziestoparoletnim chłopcem, i zamiast przy dźwiękach muzyki Gounoda sprzedawać diabłu duszę za spódnicę Małgorzatki, skupił wszystkie ludzkie siły, aby wydać walkę Duchowi ciemności, i walkę tę — o ile to w ogóle w mocy człowieka — wygrał. Tryumfalny, wspaniały rozwój nauki nowoczesnej, idący, od trzech wieków blisko, ściśle po linii, jaką wytyczył jej Descartes, świadczy dostatecznie, iż *metoda* jego była trafna i że dopóki ludzkość będzie się posuwać po drodze poznania, dopóty zasady jej będą obowiązywać. Nie stworzył on oczywiście podwalin nauki nowoczesnej sam; przed nim i równocześnie z nim było dość w tej mierze wybitnych usiłowań; ale Descartes był niby soczewką, które zebrała wszystkie te promienie, aby, zwielokrotnione potężną świadomością i samowiedzą, rzucić snopem światła w przyszłe wieki. Dużo szafowało się u nas w ostatnich latach terminem „prometeizmu”; otóż, jeżeli do czyjego życia i czynu nadawałby się przymiotnik *prometejski*, to z pewnością do Reného Descartes.

Dzieje życia mieszczą się całkowicie w dziejach jego myśli. Urodził się w La Haye w Turenii, w r. 1596 (ojciec Descartes’a był rajcą parlamentu). Pierwsze nauki odbył świetnie w kolegium jezuitów w La Flèche; w młodych latach zdradzał zamiłowanie do

<sup>2</sup>*Chat noir* (fr.: czarny kot) — paryski kabaret funkcjonujący w latach 1881–1897, skupiający ówczesną bohemę artystyczną. Ważne zjawisko kulturalne, wpłynęło na atmosferę Paryża i całej Europy. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*między piosenką Chat-noir a Rozprawą o metodzie istnieje dla mnie bardzo ścisły związek organiczny* — Bardziej może jeszcze *kartezjańska*, w znaczeniu ujęcia wszechzjawisk jako obiektywizacji matematycznego wzoru, jest nowoczesna farsa francuska; tak dalece, iż nic bym się nie dziwił, gdyby w którąś-setną rocznicę filozofa uczczono jeden z bulwarowych teatrzyków paryskich godłem np. *Folies-Descartes*. [przypis tłumacza]

<sup>4</sup>*coito* — forma niepoprawna, utworzona na wzór *cogito* (myślę) od łac. rzecz. *coitus*, oznaczającego spotkanie, ale również stosunek seksualny a. zapłodnienie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Habe nun ach! Philosophie, Juristerei und Medizin, Und, leider! auch...* (niem.) — początek monologu *Fausta* J.W. Goethego: „Zgłębiłem filozofię, arkaną prawa, medycynę, a nawet, niestety... [teologię].” Faust mówi dalej o bezcelowości wszelkiej wiedzy i płynącego z niej prestiżu. [przypis edytorski]

poezji, które zachował i później. W 17 roku dostaje się do Paryża, gdzie prowadzi życie dość rozproszone: zwłaszcza hołduje grze, której — podobnie jak Pascal — rychło ogarnia wszystkie tajniki i kombinacje. Naraz na nowo opanowany żądzą nauki, ginie z oczu towarzyszym zabaw, którzy szukają go po zakątkach Paryża, podczas gdy on studiuje prawo w Poitiers. W rok później — ma wówczas lat 21 — porzuca książki i postanawia czytać jedynie w „wielkiej księdze życia”; w tym celu, zaciąga się jako ochotnik do wojska w Holandii, pod ks. Maurycem Nassauskim<sup>6</sup>. Bawiąc w Bredzie, Descartes widzi na ulicy tłum ludzi gromadzący się przed wielkim afiszem wypisanym w języku flamandzkim i prosi sąsiada o wytłumaczenie. Był to osobliwie zawily problem geometrii oraz wezwanie do rozwiązania go. Nagabnięty przechodzień, którym był przypadkowo uczony matematyk, rektor kolegium w Dordrecht, przełożył mu treść afisza, zachęcając żartobliwie do rozwiązania. Ku wielkiemu jego zdumieniu, młodzik przyniósł nazajutrz żadaną solucję<sup>7</sup>.

Po upływie dwu lat, René opuszcza Holandię i udaje się do Niemiec, gdzie bierze udział w pierwszych utarczkach wojny trzydziestoletniej. Z początkiem r. 1619, zima zatrzymuje go na granicy Bawarii w Neuburgu (przełomowy ten moment życia opisuje Descartes w drugiej części *Rozprawy o metodzie*). Tutaj, zamknięty w swojej izdebce, odkrywa, przez zastosowanie algebry do geometrii, zasady matematyki powszechnej, w której, w upojeniu entuzjazmu, widzi klucz do rozwiązania wszystkich sekretów przyrody. Kilka lat jeszcze ciągnie Descartes żołnierską włóczęgę, wciąż nieprzerwanie prowadząc swoje dociekania matematyczne i szukając zbliżenia z wybitnymi uczonymi epoki; rzuciwszy armię, kilka lat znowuż spędza na podróżach, przebiega Włochy, Szwajcarię, gdzie, u stóp Mont-Cenis, czyni swoje obserwacje meteorologiczne. Wreszcie, postanawia w zupełności poświęcić się filozofii, „aby (jak mówi), o ile to w jego mocy, przyczynić się do dobra bliźnich”. W tym celu, uchodząc od paryskiego zgielku, osiedla się w Holandii, uważając, iż pobyt w tym kraju daje największą swobodę myślom i dociekaniom, zapewniając równocześnie potrzebne dla pracy naukowej dogodności. Tutaj spędza 20 lat na nieprzerwanych badaniach, w których przeważnie zajmuje się matematyką i zjawiskami przyrody; jednakże wśród naukowych doświadczeń wciąż przyświeca mu dążenie do syntezy ogarniającej cały wszechświat. W ciągu tych lat ogłasza *Próby filozoficzne* (1637), które zawierają *Rozprawę o Metodzie*, a obok niej *Geometrię*, *Rozprawę o meteorach* i *Dioptrykę*; układa słynny *Traktat o świetle*, który niszczy jednakże na wieść o skazaniu Galileusza; wreszcie *Traktat o namiętnościach duszy*.

Jednakże, mimo całej ostrożności filozofa, i szacunku, z jakim odnosił się do spraw wiary, działalność jego zaczęła niepokoić teologów; jedynie interwencja ambasadora Francji uchroniła Descartes’a od procesu o ateizm i spalenia jego dzieł ręką kata. To był jeden z powodów, dla których Descartes uległ prośbom i namowom entuzjastycznej swojej wielbicielki, królowej Krystyny szwedzkiej, i przeniósł się do Sztokholmu, gdzie codziennie o godzinie piątej rano (o Boże!) komentował, wobec zebranego dworu, problemy filozoficzne. Jednakże klimat północny okazał się zabójczy dla wątłego organizmu; Descartes umiera na zapalenie płuc 11 lutego 1650.

W czasie kiedy żył i działał Descartes, nauka i filozofia scholastyczna, ta sama, z której drwił sobie nielitościwie już stary Rabelais, a z której uśmiechał się pod wąsem Montaigne, panowała jeszcze w całej pełni. Mimo istnienia takich wielkich prekursorów jak Kopernik, Leonardo da Vinci, Galileusz, urzędowa nauka tkwiła jeszcze we „właściwościach” ciał i klasyfikacjach Arystotelesa, w „celowości”, rozumowała dogmatycznie o wszystkim w próżni, nie odczuwając potrzeby otworzenia oczu na to, co jest, na żywy świat przyrody i mechanikę jego zjawisk. Dobrze ustawiony sylogizm był pierwszym i ostatnim argumentem mądrości. Geometria i arytmetyka, mimo iż czyniły znaczne postępy, stanowiły zamkniętą w sobie specjalność i jakby wysoką zabawę intelektualną; uczeni przesyłali sobie z jednego końca Europy w drugi problemy do rozwiązania niby zagadnienia szachowe, czerpiąc chlubę w pokonaniu spiętrzonych trudności, nie przeczuwając jednak ścisłych związków tych problemów ze światem zjawisk będącym niejako ich obiektywizacją. Wreszcie, teologia gniotła wszystko swoją żelazną obręczą.

Nauka

<sup>6</sup>Maurycy Nassauski, dziś Maurycy Orański, książę Nassau (1567–1625) — książę orański, stadhouder Niderlandów, prowadził walkę z Hiszpanami okupującymi Holandię. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>solucja (daw., z fr.) — rozwiązanie. [przypis edytorski]

Przyszedł Descartes. Jednym uderzeniem pięści zwałił cały ten spróchniały gmach autorytetu i sylogizmów, i uczyniwszy *tabula rasa*, począł budować sam od nowa. Rozwinął i udoskonalił *algebrę*, zespolił ją z *geometrią*, tworząc w ten sposób geometrię analityczną; z niej wywiódł prawa *mechaniki* i *fizyki*, stosując je następnie do szeregu zjawisk i kontrolując doświadczeniem. Przenosząc te same prawidła mechaniki na żywe ustroje, rzucił podwaliny *fizjologii*; z niej, sięgając z kolei w wyższe rejony funkcji człowieka, dał, w *Traktacie o namiętnościach duszy*, zasady *psychologii*: wreszcie, jako kopułę gmachu, rozpiął gwiaździste sklepienie swojej *metafizyki*. A chociaż, jak jest nieuniknione w dziejach myśli ludzkiej, wiele z poglądów jego z kolei w proch się rozpadło, wszystkie zdobycze jego ducha stały się potężnym zaczynem dla dalszych pokoleń, żyjąc i rozwijając się dalej w takich umysłach jak Newton, Spinoza, Kant „i wielu innych”, jak piszą dzienniki w sprawozdaniach z arystokratycznych ślubów. Nie posądzi mnie zapewne czytelnik o tę pretensjonalność, abym, nie mając żadnej kompetencji ani tytułu po temu, silił się tu zabierać głos o wszystkich tych wysokich materiach. Ani mi to w głowie; wolę raczej, w prostocie ducha, powiedzieć z Villonem:

...chudziak ja ubogi,  
Nie mnie rozprawiać tak podniosło:  
Niech o tem sądzą theologi,  
To kaznodziei jest rzemiosło...

i odesłać czytelnika do obfitych fachowych dzieł i podręczników. Jedna tylko uwaga. Póki czytałem samego Descartes'a, rozumiałem wszystko, przynajmniej takie miałem wrażenie; w miarę jak porzucałem go, aby czytać jego *objaśniaczy*, rozumiałem coraz mniej, aż w końcu zaczynałem nie rozumieć zgoła nic. Dlatego przychodzi mi na myśl, czyby nie było dobrze zastosować czasem w dziedzinie ducha tę maksymę, tak często figurującą w ogłoszeniach Kurierków: *Pośrednictwo osób trzecich wykluczone*. O, te osoby trzecie!

Blżej, oczywiście, obchodzi nas tutaj stosunek Descartes'a do rozwoju literatury francuskiej. Jak określić wpływ, jaki wywarła jego myśl filozoficzna na czas, w którym działał, a również na późniejsze pokolenia? Pytanie to schodzi się z kwestią jedną z najtrudniejszych do ujęcia, mianowicie w jakim stopniu genialna jednostka tworzy swoją epokę, a w jakim stopniu jest jej wykwittem i wyrazem. Jedno jest niewątpliwie: to, iż Descartes, zwracając się, poprzez głowy urzędowych kapłanów wiedzy, wprost do każdego myślącego człowieka<sup>8</sup>, ośmielił ogół publiczności do zajmowania się sprawami, stanowiącymi, aż dotąd, monopol scholastycznych bakałarzy, i stał się, na przeciąg dwóch wieków blisko, bodźcem tego niesłychanego przesiąkania filozoficznego i naukowego myślenia aż do najodleglejszych krańców literatury. Poza tym, stychnych punktów między Descartes'em a najbliższą mu epoką jest wiele. Ta sama dążność do uchwycenia w mieniającej fali zjawisk prostych i niezmiennych praw, które są zjawisk tych motorem i regulują ich mechanizm — dążność będąca cechą „rewolucji kartezjańskiej” — znamioną jest dla całej literatury XVII w., ściśle psychologicznej, w najwyższym stopniu abstrakcyjnej, wykluczającej, nawet z niebezpieczeństwem zubożenia i wyjałowienia rzeczywistości, wszystko, co się w niej zdaje przypadkowe i nieistotne. *Maksymy moralne* La Rochefoucauld są typowym przykładem tej *geometrycznej* psychologii. Tragedia klasyczna XVII w. jest również nie czym innym, jak życiem ujętym w analityczne wzory, jedne i niezmiennie na przestrzeni krajów i wieków; Fedra Racine'a, która jest córką Minosa i kuzynką słońca, mogłaby być równie dobrze, bez żadnej istotnej zmiany w tekście, księżniczką krwi na dworze Ludwika XIV. Namiętności działają w tym teatrze niby proste, oczyszczone z wszelkich obcych domieszek *siły*, poruszające dane ciała po geometrycznych liniach.

Molier, za młodu po trosze uczeń Gassendiego, spadkobierca „filozofii natury” Montaigne'a, schodzi się z Kartezjuszem w otrząsaniu się z przeżytków autorytetu i proklamo-

<sup>8</sup>Descartes, zwracając się (...) wprost do każdego myślącego człowieka — Znamionym też jest, iż Descartes chętnie widział jako uczennice swoje bogato obdarzone i rozumne kobiety; znajdował w nich umysł bardziej naturalny, szczerzy, mniej zachwaszczony przesądami. Najważniejsze dzieła poświęca bądź księżniczce Elżbiecie, bądź królowej Krystynie, i do nich też zwraca najpiękniejsze swoje listy. Toteż, Filaminta i Armanda w *Uczonych Białogłowach* Moliera z zapalem będą rozprawiać o „wirach” kartezjańskich. [przypis tłumacza]

waniu samoistnego zdrowego rozumu przeciw napuszonej rutynie i monopolowi baka-  
larstwa (*Krytyka Szkoły Żon*). Chcecie poznać, w jaskrawym oświeceniu, urzędową „filo-  
zofię”, z jej „właściwościami” i esencjami ciała, jej olbrzymią peruką i żargonem łacińskim  
kryjącym pustkę i ubóstwo myśli; słowem tę, której dopiero przenikanie kartezjanizmu  
zda cios, tym razem stanowczy? Posłuchajcie Moliera, w jego najszańszym balecie,  
kończącym *Chorego z urojenia*:

...zapytabo causam et rationem quare  
Opium czynit usypiare?

*Bachelierus*:

...quia est in co  
Virtus usypatiwa,  
Cuius est natura  
Sensus odurzare...

— Dlaczego opium usypia? — Ponieważ posiada własności usypiające...

A teraz porównajmy piąty rozdział *Rozprawy o metodzie* i jego tak piękny i jasny (poza  
naturalnymi w owej epoce błędami) wykład o krążeniu krwi<sup>9</sup>, z tym ustępem:

...nazywam ją melankolią hypochondriaczną, aby ją odróżnić od dwóch  
innych; albowiem słynny Galenus rozróżnia uczenie, jak mu to jest wła-  
ściwym, trzy rodzaje tego cierpienia, które nazywamy melankolią, tak na-  
zwaną nie tylko przez Latynów, ale już przez Greków, co jest szczególnie  
godne uwagi ze względu na naszą sprawę. Pierwsza, która pochodzi z samo-  
istnej wady mózgowia; druga, która ma swoją przyczynę we krwi, nasyczonej  
i przeładowanej czarną żółcią; trzecia, zwana hypochondriaczną, z którą tu  
właśnie mamy do czynienia, a która powstaje ze skazy w którejś z okolic  
kałduna i w ogóle dolnych części ciała, w szczególności zaś śledziony, której  
gorącość i zaognienie doprowadza do mózgu chorego wielką obfitość materii  
sadzowatej, gęstej i nieczyste, której wyziewy czarne i złośliwe sprowadza-  
ją zakłócenie w funkcjach czynności zasadniczej i powodują chorobę, którą  
wykryliśmy w nim i udowodnili za pomocą naszego rozumowania z całą  
oczywistością... etc. etc.

(*Pan de Pourceaugnac*, Akt I, Scena II).

Jeżeli Molier, przesiąknięty już na wskroś nowożytnym sposobem myślenia, wali raz  
po raz jak obuchem w medycynę ówczesną, to dlatego, iż ona była punktem, na którym  
skupiały się, w najjaskrawszej postaci, wszystkie właściwości scholastycznych przeżytków.  
A kto by nie doceniał wagi i trudności zwycięstwa odniesionego nad filozofią autorytetu,  
temu przypomnę cytowany już na innym miejscu fakt, iż, na niewiele lat przed ukaza-  
niem się tej książeczki, w r. 1614, trybunał paryski wyświecił ze swego okręgu trzech  
ludzi, którzy „chcieli podtrzymywać publicznie tezy przeciw nauce Arystotelesa, zabronił  
wszelkiej osobie ogłaszać, sprzedawać i rozpowszechniać twierdzeń zawartych w tych te-  
zach *pod rygorem kary cielesnej, i, pod karą śmierci*, nauczać jakichkolwiek maksym przeciw  
dawnym i uznanym autorom”. Ale stokroć cięższą i trudniejszą jeszcze niż walka z *ze-  
wnętrznym* oporem była walka w samym sobie: przykład samego Descartes’a, w którego  
kosmogonii i metafizyce, mimo tak potężnego wewnętrznego wysiłku, zostało jeszcze  
nieco nawyku do scholastycznych rojeń, jest tego najbardziej wymownym dowodem.

Im dalej posuwamy się w wiek XVII i XVIII, tym bardziej kartezjanizm przenika  
wszystkie umysły. Ks. Genest<sup>10</sup> układa filozofię Descartes’a w wierszach, Fontenelle przy-  
prawia, ze znacznym talentem, astronomię w rodzaj madrygału; literatura przybiera coraz

<sup>9</sup>Wykład o krążeniu krwi — W wielu miejscach Molier smaga szyderstwem oficjalną medycynę, broniącą się  
zacięciem przeciw „nowatorstwom” propagującym takie nonsensa, jak krążenie krwi etc. [przypis tłumacza]

<sup>10</sup>Charles-Claude Genest (1639–1719) — pisarz i duchowny fr., członek Akademii Francuskiej. [przypis edy-  
torski]

bardziej naukowy i geometryczny charakter. Najlepsi pisarze oddają swoje pióra służbom nauk i ścigają wszędzie *mechanizm stałych praw*, na drodze wskazanej przez *Rozprawę o metodzie*: Montesquieu rzuca podwaliny nauk politycznych i socjologii; Wolter stara się ująć historię — dotąd, wraz z Bossuetem, tłumaczącą wszystko ciągłą i doraźną interwencją „palca bożego” — w stałe i niezmiennie prawa, te same, które panują w mechanice lub chemii.

Oto dytyramb na cześć kartezjanizmu, mimo iż nie wymienia nazwiska Descartes’a<sup>11</sup>, zawarty w jednym z *Listów perskich* Montesquieu (XCVII, *List Usbeka*).

...Są tutaj filozofowie, którzy, po prawdzie, nie dosięgli szczytu wschodniej mądrości; nie wzbili się aż do świetlistego tronu; nie słyszeli niewymownych słów, którymi rozbrzmiewają koncerty aniołów, nie odczuli straszliwych paroksyzmów boskiego szaleństwa. Zostawieni samym sobie, pozbawieni świętych cudów, postępują w milczeniu śladami ludzkiego rozumu.

Nie dałbyś wiary, zaiste, dokąd ich ten przewodnik zaprowadził. Rozwikłali chaos i, za pomocą prostej mechaniki, wytłumaczyli porządek boskiej architektury. Sprawca przyrody obdarzył materię ruchem; to wystarczyło, aby wytworzyć zdumiewającą różnorodność zjawisk, jaką widzimy we wszechświecie.

Podczas gdy pospolici prawodawcy ukazują nam prawa służące do kierowania społeczeństwami ludzi, prawa równie podległe zmianom, jak duch tych, którzy je stworzyli, i ludów, które je przestrzegają, tamci mówią tylko o prawach powszechnych, niewzruszonych, wiecznych, zachowywanych, bez najmniejszego wyjątku, z nieskończonym ładem i chyżością, w bezmiarach przestrzeni.

I jakie, boski czytelniku, mniemasz, iż są te ich prawa? Wyobrażasz sobie może, iż wchodząc na radę Przedwiecznego, staniesz zdumiony wysokością tajemnic; wyrzekasz się z góry zrozumienia; pragniesz jedynie podziwiać.

Ale niebawem zmienisz pogląd. Nie olśniewają one bynajmniej fałszywym przepychem; prostota ich była przyczyną, iż tak długo zostały nieznanne i dopiero po długich rozważaniach oceniono całą ich płodność i całą doniosłość.

Pierwsze, to iż każde ciało dąży do opisania linii prostej, o ile nie napotka jakiejś przeszkody, która je z niej sprowadzi. Drugie, które jest tylko następstwem pierwszego, to iż wszelkie ciało, które kręci się dokoła środkowego punktu, dąży do tego, aby się odeń oddalić, ponieważ, im dalej jest od niego, tym bardziej linia, jaką opisuje, zbliża się do linii prostej.

Oto, wspaniały derwiszu, klucz przyrody; oto płodne zasady, z których wyciąga się nieskończone konsekwencje.

Świadomość pięciu czy sześciu prawd uczyniła filozofię tych ludzi pełną cudowności i pozwoliła im dokonać tylu niemal dziwów i cudów, ile ich czytamy w żywotach naszych świętych proroków...

Czujecie tu, po stu latach blisko od ukazania się *Rozprawy o Metodzie*, ten sam rausz, to samo, spotęgowane jeszcze, pijaństwo mózgu ludzkiego nową dlań *rozkoszą poznania*? To jeszcze to samo, które pulsowało tak radośnie w ostatnich rozdziałach książeczki Descartes’a. Ta rozkosz i duma poznania, ta powszechna, gorączkowa ciekawość i głód wiedzy, zepchnie, na przeciąg kilku pokoleń, na drugi plan własne cele artystycznego tworzenia i każe mu się zaprzęgnąć do tryumfalnego rydwanu „filozofii”. Wiek XVIII, tak bogaty fermentem myśli, staje się równocześnie niezmiernie ubogi pod względem twórczości artystycznej. Później, po reakcji romantycznej, przychodzi czas, iż symbioza

<sup>11</sup>dytyramb na cześć kartezjanizmu — Bardzo interesujące oświetlenie stosunku *Encyklopedystów* do Descartes’a stanowią uwagi zamieszczone w „urzędowym” ich organie (*Correspondence litteraire*, T. 6) z okazji konkursu Akademii na Pochwałę Descartes’a, ogłoszonego w r. 1765. Z łatwo zrozumiałym brakiem perspektywy uwydatnia się w tych uwagach połowiczne tylko poczucie pochodności i synostwa filozofów XVIII w. w stosunku do Descartes’a, na pierwszy plan natomiast występują dzielące ich różnice; jest dla nich w Kartezjuszu o wiele za dużo metafizyki, nie mogą mu darować jego „spirytualizmu”, jego dowodu o istnieniu Boga, etc. etc. [przypis tłumacza]



ta nauki z literaturą pęka: każda z nich idzie swoim torem i dąży do odrębnych celów; jednakże ten okres *kartezjanizmu* literatury francuskiej wyłobi w niej trwale i dobroczynne ślady. Odtąd, na zawsze pozostanie jej cechą, iż, pod najbardziej wiotkim i kapryśnym ornamentem czy „nastrojem”, kryje się myśl nieubłagana, matematycznie logiczna i jasna. Stąd — aby powrócić do punktu wyjścia tych uwag — kiedy przebiegamy okiem literaturę francuską, widzimy niby grzędy barwnych i wonnych kwiatów; aby ją jednak naprawdę rozumieć, trzeba sobie wciąż zdawać sprawę, jak, równoległe do tej uroczej manifestacji ducha francuskiego, postępuje druga jej forma, bez której ta nie byłaby możliwa; trzeba utrwalić w sobie świadomość, jak niesłychanie intensywnej i wytrwałej trzeba było uprawy duchowej, aby wyhodować ten powabny ogród.

Okres „kartezjański” w literaturze francuskiej rozstrzygnął również w znacznej mierze o kierunku, w jakim rozwinął się język. Po przebogatym kipieniu i przelewaniu się za brzegi języka Rabelais’ego, po szerokim gawędziarstwie Montaigne’a, następuje okres zwierania się w sobie sztuki wyrażania myśli. Dążność do matematycznej ścisłości w myśleniu, do algebraicznej abstrakcji, geometrycznej prostoliniowości i symetrii, znajduje pełny wyraz w języku wieku klasycznego. I tu *Maksymy* Rochefoucauld, *Charaktery* La Bruyere’a, *Dialogi umarłych* Fontenelle’a (te ostatnie trącające już nieco znamioną oschłością) stanowią trwałe pomniki klasycznej doskonałości. Ale, nie tylko u poważnych myślicieli znajdziemy wyraźne znamiona tego *kartezjanizmu* językowego. Idźmy do najbardziej lekkich, i formą, i treścią, najbardziej płochych pisarzy! Marivaux: czujecie pod wdzięcznym madrygałem stalowe rusztowanie przelogicznych rozumowań? Crébillon-syn: niejedna rozprawa filozoficzna mogłaby pozazdrościć precyzji i subtelności w *dystynkcjach* tym rozmówkom toczącym się o najbardziej swawolnych tematach na miękkiej berżerze lub po prostu w łóżku. A *Niebezpieczne Związki* Laclos? Nawet obleganie kobiety odbywa się według  $a+b$ . Ma się wrażenie, iż, aby ją zdobyć, wystarczy udowodnić tylko, za pomocą najściślejszych matematycznych argumentów, że powinna się oddać — co okazuje się niewątpliwie prawdą, ale pod dwoma małymi warunkami: jeden, iż była na to z góry zdecydowana, a drugi, iż argumentujący przetrzuci się, w stanowczym momencie, ze sfer czystej logiki w dziedzinę fizyki eksperymentalnej. Zawsze tedy pozostaje na terenie Kartezjusza.

Z biegiem czasu, ta „geometryczność” literatury doprowadziła do pewnego wynaturzenia myśli i języka. Nie ma bardziej nieuchwytniej i kapryśnej rzeczy jak kłębianie się i falowanie chmur na horyzoncie, mimo iż niewątpliwie odbywa się ono wedle najściślejszych i niezmiennych prawideł mechaniki. Toż samo i z mechanizmem duszy ludzkiej; chcąc wszystko w niej objaśnić za pomocą kilku elementów, dochodzi się łatwo do teatru marionetek; chcąc wszystko wyrazić rozumowaniem, zuboża się skalę możliwości języka, który niemniej potężne swoje walory posiada w dziedzinie *czucia*. *Myśl* jest tylko jednym z jego zasobów; posiada on cudowną własność zapożyczania od innych sztuk ich najcenniejszych sekretów; od malarstwa palety jego barw, od muzyki skali dźwięku: a wszystko po to, aby wyrazić tę samą myśl ludzką, nieraz o wiele potężniej niż drogą rozumowania. Toteż, literatura francuska otrząsnęła się, po części za sprawą Rousseau i Bernardina de Saint-Pierre, autora *Pawła i Wirginii*<sup>12</sup>, po części dzięki obcym wpływom — w epoce romantyzmu, owej olbrzymiej międzynarodowej wymiany bogactw duchowych — z tego zacieśnienia i oschłości; ale bezcenne zdobycze osiągnięte w dziedzinie skryzalizowania języka pozostały jej trwałym skarbem i uczyniły go najsprawniejszym narzędziem wyrażenia — jak tego pragnie od języka Słowacki — „wszystkiego co *pomyśli* głowa”.

Co się tyczy języka samego Descartes’a, to daleki on jest jeszcze od klasycznej doskonałości. Prawda, iż, niejednokrotnie, samą potęgą myśli, wznosi się do wspaniałej siły i lotności wyrażenia; na ogół jednak zdanie Descartes’a, ciężkie, nawlekające bez końca wiodące się z siebie ogniwa, trąci jeszcze mocno wyniesioną z kolegium łaciną. W polskim przekładzie trzeba było prawie każde zdanie rozbijać na kilka części; tłumacz zachował jednak właściwy oryginałowi tok języka, nie chcąc odzierać dzieła z jego swo-

Język

<sup>12</sup>*Bernardina de Saint-Pierre, autora Pawła i Wirginii* — Olbrzymie powodzenie *Studiów przyrody* Bernardina de Saint-Pierre, które są jakby zaprzeczeniem istnienia Descartes’a i przekreśleniem dwóch wieków naukowego myślenia, stanowi ciekawą ilustrację, do jakiego stopnia fala myśli ludzkiej podlega od czasu do czasu, wstecznym prądom i reakcjom. Tutaj ten objaw tłumaczy się upomnieniem się o swoje prawa dłużej zdławionej koncepcji artystycznej świata. [przypis tłumacza]

istego archaicznego charakteru. Wreszcie, trzeba mieć na uwadze i to, iż obawa konfliktu z wszechpotężną teologią kazała ówczesnym filozofom zawijać myśl swoją w bardzo nieraz wyszukane i sztuczne omówienia. Wspomniałem już, że Descartes zniszczył swój *Traktat o świecie* na wieść o skazaniu Galileusza; tutaj — nie mógł się oprzeć pokusie dania zeń w streszczeniu głównych myśli; ale znamienym jest, jak misternie przeprowadza tę fikcję, iż mówi nie o naszym świecie, stworzonym, oczywiście, zgodnie z tradycją Pisma, ale o jakimś innym, możebnym, gdyby Bóg, etc. etc. To wszystko też nie zawsze przyczynia się do przejrzystości stylu.

Literatura polska czerpała w XVI wieku, wraz z innymi narodami, obficie ze źródeł humanizmu, i w tej epoce utrzymuje się poniekąd na poziomie Europy. Pomiedzy Rejem a Montaigne'm da się, ostatecznie, nakreślić analogię, mimo że w gruncie dosyć powierzchowną. Później, następuje w Polsce, na dwa wieki blisko, okres pewnego letargu. Ocknąwszy się z końcem XVIII w., okres stanisławowski stara się gorączkowo odzyskać stracone tempo; toteż nigdy czerpanie z bogactw duchowych Francji nie odbywało się bardziej żywo niż wtedy. Z romantyzmem tryska świeży źródół polskiej rodzimej twórczości, jednakże płynie on raczej ze źródeł uczucia i to przede wszystkim uczucia narodowego. Ta luka dwóch wieków, przez które Francja wypracowała — oprócz swego wspaniałego języka — cały kapitał ogólnoludzkiej myśli, oraz niezrównaną *technikę myślenia*, tak sprawną, iż przestało ono niemal być wysiłkiem, a stało się nałogiem i zabawą, ta luka zawsze podobno daje się uczuć w polskiej umysłowości; mimo pozornie równego — o tyle o ile — poziomu, nasze kulturalne szczyty, którymi radzi się chlubimy, nazbyt często wznoszą się na piasku.

Symbioza duchowa Polski i Francji, ta której zawdzięczamy Krasickiego, z której zrodził się jeden z najbardziej rodzimych i oryginalnych naszych pisarzy, Fredro, jest, jak się zdaje, najzdrowszym i najzgodniejszym z naturalną tradycją pokryciem naszych zapotrzebowań duchowych. Czuje to instynkt narodu, i stale wzrok jego, jakby urzeczony lotnością i wdziękiem galijskiej myśli, obraca się w tę stronę; ale, z jednego pokolenia na drugie, zachodzą znaczne różnice w nasileniu i głębokości fali tego duchowego „frankofilizmu”. Generacja literacka, z którą ja stykałem się niegdyś, miała, pod tym względem, pojęcia dość ograniczone: u wielu ówczesnych „młodych”, kult piśmiennictwa francuskiego dałby się sprowadzić bez mała do *Pijanego statku* Artura Rimbaud, spopularyzowanego we wspaniałym przekładzie Miriama, i *Litanii do Szatana* Baudelaire'a<sup>13</sup>. Pragnąłbym przyczynić się, o ile w mojej mocy, do tego, aby następne pokolenie widziało w nim coś więcej.

Na ostatek, jeszcze jedna refleksja. Warto przypomnieć sobie bieg myśli, jaki Descartes bierze za punkt wyjścia do swoich dociekań. Jednym z pierwszych, jak pisze<sup>14</sup>, „było zastanowienie, że często, dzieła złożone z rozmaitych części i wykonane ręką rozmaitych mistrzów mniej są doskonałe, niż te, nad którymi pracował jeden człowiek”. Przypuśćmy; ale, w dalszym rozwinięciu tej myśli, Descartes bierze, nie najszcześliwiej, za przykład — architekturę! Pamiętajmy, że było to w tym wieku XVII, który stworzył jednostajny umiar Wersalu i jego strzyżonych ogrodów, cudami zaś gotyku gardził jako ostatecznym barbarzyństwem; sam zaś Descartes, jako matematyk, posiadał widocznie zamiłowanie do symetrii. Stąd rażą go „krzywe i nierówne” ulice owych starożytnych grodów, które, bywszy z początku jedynie warowniami, zmieniły się z kolei w wielkie miasta”, w porównaniu do „tych regularnych proporcji, które inżynier wytycza wedle swej fantazji na pustej równinie”... Jest to szczegół zupełnie uboczny, niemniej jednak faktem godnym sprowadzić uśmiech na usta starego Montaigne'a, a zarazem stanowiącym może głęboki i ostrzegawczy symbol, jest ten zbieg okoliczności, iż punktem wyjścia

<sup>13</sup>Generacja literacka, z którą ja stykałem się niegdyś, miała, pod tym względem, pojęcia dość ograniczone: u wielu ówczesnych „młodych”, kult piśmiennictwa francuskiego dałby się sprowadzić bez mała do *Pijanego statku* Artura Rimbaud, spopularyzowanego we wspaniałym przekładzie Miriama, i *Litanii do Szatana* Baudelaire'a — Dziś jeszcze znam wybitnego polskiego pisarza i apostoła, który zdaje się żyć w przekonaniu, że literatura francuska zaczyna się i kończy na... Barbeyu d'Aureville [Jules Barbey d'Aureville (1808–1889), fr. pisarz, twórca mrocznej fantastyki, uważany za prekursora dandyzmu; Red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>14</sup>Warto przypomnieć sobie bieg myśli, jaki Descartes bierze za punkt wyjścia do swoich dociekań. Jednym z pierwszych, jak pisze, „było zastanowienie, że często, dzieła złożone z rozmaitych części i wykonane ręką rozmaitych mistrzów mniej są doskonałe, niż te, nad którymi pracował jeden człowiek” — *Rozprawa o metodzie*, Część II, str. 11. [przypis tłumacza]

genialnego procesu duchowego, który odrodził myśl całych pokoleń, była, powiedzmy po cichu, niedorzeczność...

*Boy*

*Kraków, we wrześniu 1918.*

# ROZPRAWA O METODZIE DOBREGO POWODOWANIA SWOIM ROZUMEM I SZUKANIA PRAWDY W NAUKACH

Jeżeli ta rozprawa wyda się zbyt długa, aby ją przeczytać na jeden raz, można ją podzielić na sześć części: w pierwszej znajdują się rozmaite rozważania dotyczące nauk; w drugiej, główne reguły metody, jakiej autor szukał; w trzeciej, niektóre zasady moralne, jakie wy dobył z tej metody; w czwartej, racje, za pomocą których udowadnia istnienie Boga i duszy ludzkiej, co stanowi podwalinę jego metafizyki; w piątej, porządek zagadnień fizycznych, jakich poszukiwał, a w szczególności wytłumaczenie czynności serca i niektórych innych trudności należących do medycyny, następnie również różnicę, jaka istnieje pomiędzy naszą duszą a duszą zwierzęcia; w ostatniej wreszcie, jakie rzeczy uważa za potrzebne, aby posunąć się w badaniach przyrody dalej niż dotychczas, oraz jakie racje skłoniły go do pisania.

## CZĘŚĆ PIERWSZA

Zdrowy rozum jest to rzecz ze wszystkich na świecie najlepiej podzielona, każdy bowiem sądzi, iż jest w nią tak dobrze zaopatrzony, iż nawet ci, których we wszystkim innym najtrudniej jest zadowolić, nie zwykli pragnąć go więcej, niżli posiadają. Nie jest prawdopodobne, aby się wszyscy mylili w tej mierze; raczej świadczy to, iż zdolność dobrego sądzenia i rozróżniania prawdy od fałszu (a to, ściśle biorąc, nazywamy zdrowym rozsądkiem lub rozumem), jest z natury równa u ludzi. Tak więc, rozbieżność mniemań nie pochodzi stąd, aby jedni byli roztropniejsi od drugich, ale jedynie stąd, iż prowadzimy myśli nasze rozmaitymi drogami i nie rozważamy tych samych rzeczy. Nie dosyć bowiem mieć umysł bystry, ale główna rzecz jest dobrze go zażywać. Największe dusze zdolne są do największych występków zarówno jak do największych cnót; a ci, którzy idą jedynie bardzo wolno, jeśli idą wciąż prostą drogą, mogą posunąć się o wiele dalej, niż ci, którzy biegną, lecz oddalają się od niej.

Mądrość

Co do mnie, nie sądziłem nigdy, aby umysł mój był w czymkolwiek doskonalszy niż umysł pospolitych ludzi: często nawet pragnąłem mieć myśl równie chybką lub wyobraźnię równie jasną i dokładną, albo pamięć równie obszerną i przytomną, co niektórzy inni. A oto, zdaje mi się, jedyne właściwości, które stanowią o doskonałości umysłu: co się tyczy bowiem rozumu, czyli pojęcia (ile że jest to jedyna rzecz, która nas czyni ludźmi i różni od zwierząt), przypuszczam, iż znajduje się całkowity w każdym, i idę w tym za powszechnym mniemaniem filozofów, którzy powiadają, że różnice między *jednostkami* tegoż samego *gatunku* tyczą jedynie właściwości *przypadkowych*, nie zaś *istotnych*.

Ale nie waham się powiedzieć, jako, moim zdaniem, miałem w tym wiele szczęścia, iż trafiłem, już od młodości, na pewne drogi, prowadzące mnie do rozważań i maksym, z których utworzyłem sobie — metodę. Zdaje mi się, iż przez tę metodę posiadałem sposób stopniowego pomnażania mojej wiedzy i wzniesienia jej pomału do najwyższego punktu, do którego mierność mego umysłu i krótkie trwanie życia pozwolą jej dosięgnąć. Zebrałem już z niej takie owoce, iż — mimo że w sądzie jaki tworzę o sobie staram się zawsze przechylać raczej w stronę nieufności niż zarozumiałości, i że gdy patrzę okiem filozofa na rozmaite dzieła i przedsięwzięcia wszystkich ludzi, nie masz jakoby ani jednego, które by mi się nie zdawało czcze i bezużyteczne — mimo to, odczuwam nadzwyczajne zadowolenie z postępu, jaki, w swoim mniemaniu, już uczyniłem w poszukiwaniu prawdy, i czerpię nie mniejsze nadzieje na przyszłość. Owszem, jeśli między zatrudnieniami ludzi będących jedynie ludźmi znajduje się jakieś, które by było trwale dobre i ważne, śmiem mniemać, iż jest nim to, które ja obrałem.

Mimo to może być, iż się myślę; może to wszystko, to tylko trochę miedzi i szkła, które ja biorę za złoto i diamenty. Wiem, jak bardzo jesteśmy podlegli omyłkom w tym, co nas dotyczy, i jak bardzo powinni być nam podejrzane sądy przyjaciół wówczas, kiedy padają na naszą korzyść. Ale będę bardzo rad ukazać w tej rozprawie, jakie są drogi, którymi szedłem, i przedstawić życie moje niby obraz, iżby każdy mógł o nim sądzić, i abym,

słyszac powszechne głosy mniemań jakie się podniosą w tym przedmiocie, zyskał nowy sposób pouczenia się i dołączył go do tych, którymi zwyczajnie się posługiwałem.

Tak więc, zamiarem moim nie jest nauczać tu metody, której każdy winien się trzymać, aby dobrze powodować swoim rozumem, ale jedynie pokazać, w jaki sposób ja starałem się powodować moim. Ci, którzy bawią się w dawanie przepisów, muszą uważać się za bieglejszych od tych, którym je dają; jeśli chybią w najmniejszej rzeczy, zasługują na naganę. Ale skoro przedstawię to pismo jedynie jako historię lub, jeśli wolicie, jako opowieść, w której, pośród kilku przykładów, które można naśladować, znajdzie się też może i wiele innych, za którymi słuszne będzie nie podążać, mam nadzieję, iż będzie ono pożyteczne niektórym, nie będąc szkodliwe nikomu, i że wszyscy poczytają mi za dobrą szczerość.

Zaprawiano mnie do nauk od samego dzieciństwa; ponieważ zaś zapewniano mnie, że za ich pomocą można nabyć jasną i pewną wiedzę wszystkiego, co jest użyteczne dla życia, żywiłem niezmiernie pragnienie przyswojenia ich sobie. Ale, zaledwie wyczerpałem cały ten zakres studiów, po upływie którego jest się zazwyczaj przyjętym do towarzystwa uczonych, zmieniłem zupełnie mniemanie: czułem się bowiem udręczony tyloma wątpliwościami i błędami, iż zdawało mi się, że starając się pouczyć, nie osiągnąłem żadnej korzyści, chyba tę, iż tym jawniej odsłoniłem sobie moją niewiedzę. A przecież byłem w jednej z najświetniejszych szkół w Europie, gdzie, sądziłem, powinni znaleźć się uczeni ludzie, jeśli w ogóle istnieją w jakimś miejscu na ziemi. Nauczyłem się wszystkiego, czego inni się tam uczyli; a nawet, nie zadowolając się naukami, jakie nam podawano, przebiegłem wszystkie księgi, które mi wpadły w ręce, a traktowały o przedmiotach uznanych za najbardziej osobliwe i rzadkie. Znałem przy tym sąd, jaki inni mieli o mnie; nie widziałem, aby mnie uważano za niższego od współuczniów, mimo iż było już między nimi kilku, których przeznaczano, aby zajęli miejsce naszych mistrzów. Wreszcie, wiek nasz zdawał mi się równie kwitnący i bogaty w bystre umysły, co którykolwiek z poprzedzających. To wszystko dawało mi swobodę sądzenia wedle siebie o wszystkich innych i zrodziło przeświadczenie, iż nie ma na świecie nauki, która by była taka, jak mi się wprzódę pozwolono spodziewać.

Pomimo to, nie przestałem szanować ćwiczeń, którymi zatrudniają nas w szkołach. Wiedziałem, że języki jakich tam uczą, potrzebne są dla zrozumienia ksiąg starożytnych; że powab bajek rozbudza umysł; że godne pamięci uczynki z historii podnoszą go i że, czytane z rozeznaniem, pomagają do ukształtowania sądu; że czytanie wszelkich dobrych książek jest niby rozmowa z najgodniejszymi ludźmi minionych wieków, będących ich autorami, ba, nawet rozmowa wybredna, w której odsłaniają nam jedynie swe najlepsze myśli; że wymowa posiada nieporównaną siłę i piękności; że poezja ma wykwinty i słodkie bardzo czarujące; że nauki matematyczne zawierają wymysły bardzo subtelne i zdolne znacznie posłużyć tak dla zadowolenia ciekawych, jak dla ułatwienia wszystkich rzemiosł i zmniejszenia pracy człowieka; że pisma traktujące o obyczajach mieszczą nauki i zachęty do cnoty nader użyteczne; że teologia uczy, jak zdobywać niebo; że filozofia daje sposób rozprawiania z prawdopodobieństwem o wszystkich rzeczach i budzenia podziwu mniej uczonych; że prawo, medycyna i inne nauki przynoszą zaszczyty i bogactwa tym, którzy je uprawiają; że wreszcie dobrze jest zbadać je wszystkie, nawet najbardziej zabobonne i fałszywe, aby poznać ich prawdziwą wartość i nie dać się im omamić.

Ale sądziłem, że już dosyć czasu poświęciłem językom, a nawet także czytaniu ksiąg starożytnych, ich historii i bajek. Rozmawiać bowiem z ludźmi innych wieków jest to poniekąd to samo, co podróżować. Dobrze jest wiedzieć coś o obyczajach rozmaitych ludów, aby bardziej zdrowo sądzić o naszych i abyśmy nie myśleli, że wszystko, co jest przeciw naszym modłom, jest śmieszne i przeciw rozumowi, jak to mają zwyczaj mniemać ci, którzy nic nie widzieli. Ale kiedy się obraca zbyt wiele czasu na podróżowanie, człowiek staje się wreszcie obcym w swoim kraju; kiedy się jest zanadto ciekawym rzeczy, które się działy w minionych wiekach, jest się zazwyczaj bardzo nieświadomym tych, które się dzieją współcześnie z nami. Prócz tego, bajki przedstawiają jako możebne wiele wydarzeń w istocie niemożliwych; a nawet najbardziej wierna historia, jeżeli nie zmienia i nie pomnaża wartości rzeczy, aby je uczynić godniejszymi czytania, opuszcza przynajmniej zawsze okoliczności najbardziej pospolite i najmniej świetne, z czego pochodzi, iż reszta nie wydaje się taką, jaką jest, i że ci, którzy kierują swoje obyczaje wedle przy-

Mędrzec

Podróż

Książka, Historia



kładów stąd czerpanych, łatwo skłonni są popaść w szaleństwa paladynów z romansów i imać się zamiarów, które przechodzą ich siły.

Kenie wiele wymowę i byłem rozkochany w poezji; ale sądziłem, iż jedno i drugie są to raczej dary umysłu, niż owoce studiów. Ci którzy silniejsi są w rozumowaniu i lepiej trawia myśli, aby je oddać jasno i zrozumiale, mogą zawsze lepiej przekonać o swoich poglądach, chociażby mówili jedynie chłopską gwarą i nigdy nie uczyli się retoryki; ci zaś, którzy mają pomysły bardziej powabne i umieją je wyrazić z największym wdziękiem i okrasą, byłiby zawsze największymi poetami, choćby sztuka poetycka była im zupełnie nieznana.

Podobałem sobie zwłaszcza w naukach matematycznych, a to dla pewności i oczywistości ich racji; ale nie ogarniałem jeszcze prawdziwego ich użytku; a sądząc, iż służą jedynie dla sztuk mechanicznych, dziwiłem się, iż, skoro ich podwaliny są tak mocne i stałe, nie zbudowano na nich czegoś wznioślejszego. Przeciwnie znowuż, pisma starożytnych pogan traktujące o obyczajach porównywałem do pałaców bardzo pysznych i wspinających, ale zbudowanych jeno na piasku i błocie: wynoszą bardzo wysoko cnoty i ukazują je jako godne czci ponad wszystko na świecie; ale nie dosyć uczą je poznać i często to, co nazywają tak pięknym imieniem, jest jedynie bezczułością lub pychą, lub rozpaczą, lub ojcobójstwem.

Miałem cześć dla teologii i pragnąłem, nie gorzej od innych, pozyskać sobie niebo; ale dowiedziawszy się, jako rzecz bardzo pewną, że droga doń jednak jest otwarta dla najbardziej nienauczonych, co dla najuczestszych, i że prawdy objawione, które tam prowadzą, stoją powyżej naszego pojęcia, nie byłbym się odważył poddać ich memu wątpliwemu rozumowaniu, i myślałem, że aby podjąć takie badanie z pomyślnym skutkiem, trzeba by mieć jakowąś nadzwyczajną pomoc nieba i być więcej niż człowiekiem.

Nie powiem nic o filozofii, chyba to, iż widząc, jako uprawiały ją najwyborniejsze duchy żyjące od wielu wieków, i że, pomimo to, nie znajduje się w niej jeszcze żadnej rzeczy, o którą by się nie spierano, która by więc, tym samym, nie była wątpliwa, nie byłem na tyle zarozumiały, aby spodziewać się lepiej w tym utrafić aniżeli inni. Rozważając, ile może być rozmaitych mniemań, tyjących tego samego przedmiotu, mniemań podtrzymywanych przez ludzi uczonych, podczas gdy, w istocie, nie może być nigdy więcej niż jedno, które by było prawdziwe, osądziłem niemal jako fałszywe wszystko, co było tylko prawdopodobne.

Co do innych nauk (ile że czerpią zasady swoje w filozofii), sądziłem, że nie można było zbudować nic trwałego na podstawach tak niepewnych. Ani honory, ani zyski, jakie obiecują, nie były wystarczającym bodźcem, aby mnie skłonić do ich studiowania. Nie byłem, Bogu dzięki, w położeniu, które by mnie zniewalało czynić rzemiosło z nauki dla poprawy mego losu; mimo zaś iż nie podpisuję się, na sposób cyników, pogardą dla sławy, bardzo mało nęciła mnie ta, którą mogłem nabyć jedynie za pomocą fałszywych tytułów. Wreszcie, co się tyczy nauk nieczystych, sądziłem, iż dostatecznie wiem, ile są warte, aby się nie dać zmamić ani obietnicom alchemisty, ani przepowiedniom astrologa, ani szalberstwom magika, ani sztuczkom lub przechwałkom żadnego z ludzi czyniących rzemiosło z tego, aby wiedzieć więcej niż wiedzą.

Dlatego, też, skoro tylko wiek pozwolił mi wyjść spod władzy nauczycieli, porzuciłem zupełnie zgłębianie nauk. Zgodziwszy się nie szukać już innej wiedzy prócz tej, jaką mógłbym znaleźć w samym sobie lub też w wielkiej księdze świata, obróciłem resztę młodości na podróżowanie, oglądanie dworów i wojsk, szukanie towarzystwa ludzi rozmaitych usposobień i stanów, gromadzenie rozmaitych doświadczeń, próbowanie samego siebie w przygodach, jakie mi los nadarzy, wszędzie zaś na zastanawianie się nad następczącymi się rzeczami w taki sposób, iżbym mógł wyciągnąć z nich jakąś korzyść. Zdawało mi się bowiem, iż może znajdę o wiele więcej prawdy w rozumowaniach, jakie każdy czyni odnośnie do spraw, które mu są bliskie i których obrót musi go ukarać niebawem, jeśli je źle osądził, niż w sądach, jakie czyni uczony w swojej pracowni, odnośnie do spekulacji nie wydających żadnego skutku i które nie mają dlań innych następstw, prócz może tego, iż wydobędzie z nich o tyleż więcej chluby, im bardziej będą oddalone od pospolitego rozsądku, a to iż musiał zużyć więcej dowcipu i sztuki, aby im nadać prawdopodobieństwo. Wreszcie, posiadałem zawsze bardzo silne pragnienie, aby się na-

Cnota

Nauka

uczyć rozróżniać prawdę od fałszu, aby widzieć jasno w moich czynach i stąpać pewnym krokiem przez życie.

Prawda, iż podczas gdy tak przyglądałem się obyczajom innych ludzi, nie znajdowałem nic, na czym mógłbym się oprzeć i zauważyłem w nich niemal tę samą rozbieżność, co wprzód w mniemaniach filozofów. Ostatecznie, największą korzyścią, jaką z nich dobyłem, było to, iż widząc wiele rzeczy, które, jakkolwiek zdają się nam bardzo śmieszne i niedorzeczne, zażywają, mimo to, powszechnego wzięcia i uważania u innych wielkich narodów, uczyłem się stąd, aby nie wierzyć nazbyt pewnie w nic o czym przekonywał mnie jeno przykład i obyczaj. W ten sposób, oswabadzałem się pomału z wielu błędów, które mogą zaciemniać nasze naturalne światło i czynić nas mniej zdatnymi do pojmowania. Ale, skoro obróciłem kilka lat na studiowanie w ten sposób w księdze świata i zdobywanie niejakiego doświadczenia, postanowiłem pewnego dnia zagłębić się również w samego siebie, i użyć wszelkich sił mojego ducha dla wyszukania dróg, jakimi iść mi należało. Powiodło mi się to, jak sądzę, o wiele lepiej, niż gdybym się nie był nigdy oddalił od mego kraju ani od książki.

## CZEŚĆ DRUGA

Byłem wówczas w Niemczech, dokąd powołały mnie wojny, które ciągną się tam jeszcze. Kiedy wracałem z koronacji cesarza do armii, początek zimy zatrzymał mnie na kwaterze, gdzie, nie znajdując żadnego towarzystwa, które by mi odpowiadało, i nie mając zresztą, na szczęście, trosk ani namiętności, które by mnie męciły, siedziałem przez cały dzień zamknięty sam w ciepłej izbie, za jedyną rozrywkę zabawiając się z własnymi myślami. Jedną z pierwszych myśli było spostrzeżenie, że często dzieła złożone z rozmaitych części i wykonane ręką rozmaitych mistrzów mniej są doskonałe niż te, nad którymi pracował tylko jeden człowiek. Tak widzimy, że budowle, które jeden architekt podjął i wykonał, są zazwyczaj piękniejsze i lepiej rozmieszczone niż te, które wielu ludzi starało się skleić, posługując się starymi murami zbudowanymi w innych celach. Tak owe starożytne grody, które, bywszy z początku jedynie warowniami, zmieniły się, koleją czasów, w wielkie miasta, są zazwyczaj tak lichy rozłożone, w porównaniu do tych, regularnych proporcji, które inżynier wytycza wedle swej fantazji na pustej równinie, że chociaż, zważywszy każdy budynek z osobna, znajduje się w nich często tyleż albo więcej sztuki niż w tamtych, wszelako, widząc, jak są rozmieszczone, tu duży, tu mały, i jak ulice są przez to krzywe i nierówne, powiedziałoby się raczej, iż to traf, a nie wola kilku ludzi władających rozumem, rozłożyła je w ten sposób. A jeśli się zważy, że mimo to, we wszystkich czasach było zawsze kilku urzędników obowiązanych z urzędu czuwać nad budowlami prywatnych osób, iżby służyły zarazem ku publicznej ozdobie, uzna się, że trudno jest, pracując tylko na dziełach cudzych, dokonać rzeczy bardzo doskonałych. Tak, wyobrażam sobie, że ludy, które, bywszy wprzód półdzikimi i cywilizując się jedynie stopniowo, układały sobie prawa jedynie w miarę, jak dolegające im zbrodnie i spory zmuszały je do tego, nie mogą posiadać tak dobrych urządzeń, jak owe, które od samego początku swego skupienia przestrzegały ustaw jakiegoś roztropnego prawodawcy. Tak samo pewnym jest, że instytucja prawdziwej religii, której Bóg sam naznaczył przepisy, musi być nieporównanie lepiej postanowiona niż wszystkie inne. Aby zaś mówić o rzeczach ziemskich, sądzę, iż, jeśli Sparta była niegdyś bardzo kwitnąca, to nie z przyczyny dobroci każdego z jej poszczególnych praw (między którymi było wiele bardzo dziwacznych a nawet sprzecznych z dobrymi obyczajami), ale z tej przyczyny, iż, będąc wymyślone przez jednego twórcę, wszystkie one zmierzały do jednego celu. I tak samo pomyślałem, że wiadomości książkowe (przynajmniej te, których racje są jedynie prawdopodobne i na które nie ma żadnego dowodu, jako iż złożyły się i urosły stopniowo z mniemań wielu rozmaitych osób), nie są tak bliskie prawdy, jak proste rozumowania, jakie może naturalnym rozeznanem uczynić człowiek o zdrowym rozsądku, odnośnie do rzeczy, jakie mu się następują. I jeszcze pomyślałem, iż, jako że wszyscy byliśmy dziećmi, zanim staliśmy się mężami<sup>15</sup>, i że długo trzeba nam było dać się powodować naszym chęciom i naszym preceptorom, których dą-

<sup>15</sup>Jako że wszyscy byliśmy dziećmi, zanim staliśmy się mężami — nawiązanie do metafory św. Pawła: „Gdyś był dziecięciem, mówiłem jako dziecię, rozumiałem jako dziecię, rozmyślałem jako dziecię. Lecz gdyś się stał mężem, wyniszczyłem to, co było dziecinne.” (1Kor 13,11; przekład Jakuba Wujka). [przypis edytorski]

zenia były często sprzeczne, a z których ani jedno, ani drugie nie zawsze może doradzać to, co najlepsze, prawie niemożliwe jest, aby nasze sądy były tak czyste i pewne, jak byłyby, gdybyśmy zawsze mieli całkowite posiadanie naszego rozumu od samego urodzenia i zawsze nim jeno się powodowali.

Prawda, iż nie widzimy, aby w mieście burzono wszystkie domy jedynie w tym celu, aby je przebudować na inny sposób i upiększyć ulice; widzimy jednakże, iż wielu burzy swoje domostwa, aby je odbudować na nowo: niekiedy nawet zmuszeni są do tego, kiedy dom grozi niebezpieczeństwem zawalenia i kiedy fundamenty nie są dość pewne. Zgodnie z tym przykładem uznałem, iż nie ma w istocie prawdopodobieństwa, aby pojedynczy człowiek powziął zamiar zreformowania państwa, zmieniając wszystko od fundamentów i burząc je, aby wzniesić na nowo; ani też chciał zreformować całokształt nauk lub porządek nauczania ustanowiony w szkołach; ale że, co do wszystkich mniemań, jakie we mnie dotąd wpojono, nie mogę uczynić nic lepszego, jak wziąć się raz do tego, aby je z siebie usunąć, iżby później pomieścić tam na nowo albo inne lepsze, albo nawet te same, skoro je dostosuję do miary rozumu. I uwierzyłem mocno, że za pomocą tego sposobu uda mi się poprowadzić moje życie o wiele lepiej, niż gdybym je budował jedynie na starych fundamentach i opierał się jedynie na zasadach, które dałem w sobie w młodości, nie zbadawszy nigdy, czy są prawdziwe. Mimo bowiem że spostrzegłem w tym rozmaite trudności, nie były one wszelako bez lekarstwa, ani nie można ich równać z tymi, które mieszczą się w reformowaniu najmniejszych rzeczy dotyczących powszechności. Te wielkie ciała zbyt trudne są do podniesienia, skoro raz runą, a nawet do podtrzymania, skoro się zachwieją, i upadek ich jest zawsze rzeczą bardzo ciężką. Następnie, co do ich niedoskonałości, jeśli je posiadają (a sama różnorodność będąca między nimi wystarcza, aby upewnić, iż wiele z nich je posiada), przyzwyczajenie złagodziło je z pewnością bardzo, a nawet usunęło lub poprawiło nieznacznie wiele braków, którym nie można by tak skutecznie zapobiec rozsądkiem; wreszcie, są one poniekąd zawsze bardziej znośne, niż byłaby ich odmiana, tak samo jak ścieżki wijące się między górami stają się, siłą powszechnego uczęszczania, stopniowo tak gładkie i wygodne, iż o wiele lepiej jest iść za nimi, niż kusić się o prostszą drogę, drapiąc się ponad skały i zstępując aż na dno przepaści.

Dlatego to nie umiałbym bynajmniej pochwalić owych natur mątlivych i niespokojnych, które, nie powołane ani z urodzenia, ani z losu do kierowania sprawami publicznymi, wciąż dokonują w nich, w myśli, jakichś nowych przeobrażeń. Gdybym sądził, że istnieje w tym piśmie bodaj najmniejsza rzecz, przez którą można by mnie posądzać o to szaleństwo, byłbym bardzo nierad, iż pozwoliłem na jego ogłoszenie. Nigdy zamiar mój nie rozciągał się dalej, niż aby starać się zreformować własne myśli i budować na fundamencie, który by był zupełnie moim własnym. To iż — jako że dzieło moje dosyć mi się spodobało — ukażę wam tu jego modłę, nie znaczy bynajmniej, abym chciał komuś radzić naśladowanie go. Ci, których Bóg lepiej obdzielił swymi łaskami, będą może mieli górniesze zamiary; ale obawiam się wielce, aby już ten oto nie był dla wielu aż zanadto śmiały. Już to samo postanowienie, aby się wyzbyc wszystkich mniemań, jakie się przyjęło poprzednio do wierzenia, nie jest przykładem, za którym godziłoby się iść każdemu. Świat jest poniekąd złożony z dwóch rodzajów umysłów, którym nie przygodzi się to bynajmniej, a mianowicie: tych, którzy, uważając się za zdatniejszych, niż są w istocie, nie mogą się powstrzymać, aby się nie kwapić z swym sądem, ani też nie mają dosyć cierpliwości, aby prowadzić po porządku wszystkie swoje myśli: skąd pochodzi, iż, skoro raz odważyli się wątpić o zasadach, jakie otrzymali i zboczyć z powszechnej drogi, nigdy nie zdołają się trzymać ścieżki, jaką trzeba obrać, aby iść bardziej prosto, i zbłąkają się na całe życie; dalej, tych, którzy, mając na tyle rozsądku lub skromności, aby osądzić, iż mniej są zdolni odróżnić prawdę od fałszu niż inni, których mogliby być uczniami, raczej powinni zadowolić się tym, aby trzymać się mniemań owych drugich, niż szukać na własną rękę lepszych.

Co do mnie, byłbym z pewnością z liczby tych ostatnich, gdybym miał w życiu tylko jednego mistrza, lub też gdybym nie był poznał różnic, jakie, we wszystkich czasach, istniały pomiędzy mniemaniami najuczestniejszych. Ale dowiedziawszy się w szkołach jeszcze, że nie można wymyślić nic tak dziwaczniejszego i mało godnego wiary, czego by kiedyś nie był powiedział jakiś filozof, później, w podróżach moich, poznałem, że ludzie, którzy

Dom

Droga

mają pojęcia bardzo odmienne od naszych, niekoniecznie jeszcze są przez to dzikimi ani barbarzyńcami, ale że wielu z nich cieszy się tyleż albo więcej niż my rozumem. Zważyłem, jak bardzo ten sam człowiek, z tym samym umysłem, wychowany od dzieciństwa między Francuzami lub Niemcami, staje się różnym od tego, czym byłby, gdyby zawsze żył pośród Chińczyków albo kanibalów. Dalej, ta sama rzecz, aż do mód i strojów, która podobała się nam przed dziesięciu laty i będzie się nam może znowuż podobała, nim dziesięć lat upłynie, wydaje się teraz śmieszna i niedorzeczna; tak iż na przekonania nasze raczej wpływa zwyczaj i przykład, niż jakiegokolwiek pewne zasady. Wreszcie, większość głosów nie jest dowodem, który by coś był wart dla prawd nieco przytrudnych do poznania, z tej przyczyny, iż o wiele prawdopodobniejszym jest, aby jeden człowiek trafił na nie, niż cały lud. Z tych wszystkich przyczyn nie mogłem wybrać nikogo, którego mniemania zdałyby mi się godne, aby je przełożyć nad inne, i uczulem się niejako zmuszony podjąć samemu powodowanie sobą.

Ale, jak człowiek, który kroczy sam i wśród ciemności, postanowiłem iść tak wolno i postępować, w każdej rzeczy, z tyloma ostrożnościami, aby, gdybym nawet miał się posuwać bardzo niewiele, uchronić się przynajmniej od upadku. Nie chciałem nawet zaczynać od tego, aby odrzucać zupełnie którekolwiek z mniemań, które mogły się niegdyś wcisnąć w moje przeświadczenie, nie wprowadzone w nie rozumem. Przedtem chciałem obmyślić dokładny zarys dzieła, jakie podejmowałem, i znaleźć prawdziwą metodę, która by mnie doprowadziła do świadomości wszystkich rzeczy dostępnych dla mego umysłu.

Za moich młodszych lat, między innymi częściami filozofii, studiowałem dość pilnie logikę, między zaś naukami matematycznymi, geometrię analityczną i algebrę, trzy sztuki lub nauki, które mogły mi być przydatne w moim zamiarze. Ale, rozpatrując się w nich, zauważyłem, iż, co do logiki, jej sylogizmy i większość innych reguł raczej służą do wytłumaczenia komuś drugiemu rzeczy, które wiemy, lub nawet, jak sztuka Lulliusa, do mówienia bez rozeznania o tym, czego się nie wie, niżli do nauczenia się ich samemu. Mimo iż logika zawiera, w istocie, wiele przepisów bardzo prawdziwych i bardzo dobrych, jest w niej wszelako, zamieszanych pomiędzy owe, tyle innych, szkodliwych lub zbytecznych, że prawie równie trudno jest wydzielić je, co wydobyć Dianę lub Minnerwę ze złomu marmuru, w którym nawet nie jest jeszcze naszkicowana. Co się tyczy analizy starożytnych i algebry współczesnych, to, poza tym, iż rozciągają się jedynie na przedmioty bardzo oderwane i które zdają się bez żadnego zastosowania, pierwsza z nich jest zawsze tak związana z figurami, iż, ćwicząc umysł, równocześnie znacznie nuży wyobraźnię; w drugiej zaś tak się poddano władzy pewnych prawideł i znaków, iż uczyniono z niej sztukę mętną i ciemną, która zagwałdza umysł, miast by go rozwijała. To było przyczyną, iż umyśliłem szukać innej jakiej metody, która, obejmując korzyści tych trzech, byłaby wolna od ich błędów. Mnogość praw dostarcza często usprawiedliwienia występkom; państwo o wiele lepiej jest rządzone wówczas, gdy ma ich bardzo niewiele, ale w zamian bardzo ściśle przestrzeganych. Podobnie, zamiast wielkiej liczby prawideł z których składa się logika, sądziłem, iż wystarczą mi następujące cztery, bylebym powziął stałe i niezłomne postanowienie nie chybiecia ani razu w ich przestrzeganiu.

Pierwszym jest, aby nie przyjmować nigdy żadnej rzeczy za prawdziwą, dopóki nie poznam jej oczywiście jako takiej: to znaczy, aby unikać starannie pośpiechu i uprzedzenia, i nie zawierać w swoim sądzie nic, jak tylko to, co się przedstawi memu umysłowi tak jasno i wyraźnie, iż nie będę miał żadnej możliwości podania tego w wątpliwość.

Drugim, aby każdą z rozpatrywanych trudności podzielić na tyle części, na ile się da i ile będzie potrzeba dla lepszego jej rozwiązania.

Trzecie, aby prowadzić myśli po porządku, zaczynając od przedmiotów najprostszych i najłatwiejszych do poznania, i pomału, jak gdyby po stopniach, wstępować aż do poznania bardziej złożonych; przy czym należy przypuszczać porządek nawet między tymi, które nie tworzą naturalnego szeregu.

Ostatnie, aby wszędzie czynić wyszczególnienia tak dokładne i przeglądy tak powszechne, abym był pewny, iż nic nie opuściłem.

Dłgie łańcuchy rozumowań, samych w sobie prostych i łatwych, którymi geometrycy zwykli się posługiwać, aby dojść do najtrudniejszych demonstracji, dały mi przyczynę wyobrażenia sobie, iż wszystkie rzeczy, które mogą podpadać świadomości ludzkiej, wysnuwają się z siebie w tenże sam sposób, i że, byleby tylko powstrzymać się od przyjęcia za

prawdziwą którejś, która nią nie jest, i zachować zawsze porządek, jaki jest potrzebny, aby je wyprowadzić jedne z drugich, nie mogą istnieć tak odległe, do których by się nie dotarło, ani tak ukryte, których by się nie odkryło. I niewiele miałem kłopotu z szukaniem tych, od których należałoby zacząć; wiedziałem już bowiem, że od najprostszych i najłatwiejszych do poznania. Zważywszy, że pomiędzy wszystkimi ludźmi, którzy poprzednio poszukiwali prawdy w naukach, jedni tylko matematycy umieli znaleźć jakieś dowody, to znaczy jakoweś racje pewne i oczywiste, nie wątpiłem, iż należy zacząć od tych, które oni rozpatrywali; mimo iż nie spodziewałem się stąd innego pożytku, jak tylko, iż przyzwyczają one mój umysł do karmienia się prawdą i nie zadowalania się fałszywymi racjami. Ale nie zamierzałem zgłębiać w tym celu wszystkich poszczególnych nauk, które nazywa się powszechnie matematycznymi. Mimo że przedmioty ich są różne, godzą się jednakże one wszystkie w tym, iż nie rozważają czego innego, jak tylko rozmaite stosunki lub proporcje, jakie w nich zachodzą. Pomyślałem przeto, iż pożyteczniej mi będzie zbadać te proporcje w ogólności, podstawiając je jedynie w tych przedmiotach, których poznanie stanie się przez to łatwiejsze, nie wiążąc ich wszelako zgoła z tymi przedmiotami, iżbym je mógł tym łatwiej zastosować później do wszystkich innych, do których by się nadały. Następnie, wzięwszy pod uwagę, iż aby poznać te proporcje, będę niekiedy musiał rozważać każdą oddzielnie, a niekiedy tylko zapamiętać lub obejmować więcej razem, pomyślałem, iż aby je lepiej rozważać oddzielnie, powinienem wyobrazić je sobie w liniach, jako iż nie widzę nic prostszego, ani też nic, co bym mógł jaśniej uzmysłowić wyobraźni i zmysłom. Aby je zaś ująć lub połączyć w większej liczbie, trzeba mi będzie wyrazić je sobie w jakichś cyfrach, najprostszych, jak tylko możebne; w ten sposób, zapożyczę wszystko, co jest najlepsze z analizy geometrycznej i z algebry, i poprawię wszystkie braki jednej za pomocą drugiej.

Jakoż, w istocie, śmiem powiedzieć, iż ściśle przestrzeganie tych niewielu prawideł, jakie obrałem, dało mi taką łatwość w rozplątywaniu wszystkich kwestii, na które te dwie nauki się rozciągają, iż w ciągu dwóch czy trzech miesięcy, jakie obróciłem na ich rozpatrywanie, zaczynając od najprostszych i najogólniejszych i używając każdej prawdy, jaką znalazłem, za prawidło, które mi służyło potem do znalezienia innych, nie tylko uporałem się z wieloma rzeczami, które zdały mi się wprzód bardzo trudne, ale zdało mi się także ku końcowi, że nawet w tych, których nie znałem, mogę oznaczyć, jakimi środkami i do jakiego punktu możliwym jest ich rozwiązanie. A nie wydam się wam może nadto chełpliwym, jeśli zważyte, iż, ponieważ w każdej rzeczy istnieje tylko jedna prawda, kto ją znajdzie, wie o tym tyle, ile można wiedzieć. Tak na przykład, dziecko umiejące arytmetykę, wykonawszy dodawanie według reguł, może być przeświadczone, iż znalazło, odnośnie do sumy której szukało, wszystko, co rozum ludzki zdoła znaleźć. Ostatecznie bowiem metoda, która uczy iść za właściwym porządkiem i rozróżniać ściśle wszystkie okoliczności tego, czego się szuka, zawiera wszystko to, co daje pewność prawidłom arytmetyki.

Ale najwięcej zadowolenia w tej metodzie dawało mi, iż dzięki niej miałem pewność, że we wszystkim posługuję się moim rozumem, jeśli nie doskonale, to przynajmniej najlepiej, jak jest w mojej mocy. Czulem, iż trzymając się jej, umysł mój przyzwyczajają się stopniowo do ogarniania przedmiotów bardziej jasno i wyraźnie. Nie przykuwszy jej do żadnej poszczególniej materii, obiecywałem sobie zastosować ją do innych nauk z równym pożytkiem, z jakim posługiwałem się nią przy algebrze. Nie iżbym dlatego ważył się od razu rozpatrywać wszystkie gałęzie wiedzy, jakie by się nastęrczyły, to właśnie bowiem byłoby przeciwne porządkowi, jaki metoda ta przepisuje. Wzięwszy pod rozwagę, iż zasady tych nauk winny być wszystkie zaczerpnięte z filozofii, w której nie znajdowałem jeszcze pewnych podstaw, pomyślałem, iż trzeba mi przede wszystkim starać się ustalić takowe, i że — wobec tego, iż jest to rzecz najważniejsza w świecie i w której najbardziej należało się obawiać pośpiechu i uprzedzenia — nie powinienem podejmować dzieła tego wprzód, aż osiągnę wiek o wiele dojrzałszy niż dwadzieścia trzy lat, które wówczas liczyłem, i aż zużyję wiele czasu na przygotowanie się do tych zadań, tak wykorzeniając z umysłu wszystkie błędne mniemania, jakie przyjąłem weń przed tym czasem, jak też gromadząc rozmaite doświadczenia, aby zbierać materię dla moich rozumowań i ćwicząc się ciągle w metodzie, jaką obrałem, aby umocnić się w niej coraz więcej.



## CZĘŚĆ TRZECIA

Zanim się zacznie przebudowywać dom, w którym się mieszka, nie dość jest tylko go zburzyć i gromadzić zapas materiałów, oraz zgodzić architektów, lub też ćwiczyć się samemu w architekturze, a wreszcie nakreślić starannie plan. Trzeba także wystarać się o jakiś inny domek, gdzie by można wygodnie się pomieścić przez czas, który się będzie pracować nad nowym. Tak więc, iżbym nie pozostał chwiejny w moich czynnościach przez czas, przez który rozum zmuszał mnie być chwiejnym w moich sądach, i abym mógł podczas tego żyć najszcześliwiej jak zdołam, utworzyłem sobie moralność tymczasową, polegającą jedynie na trzech lub czterech zasadach, jakich wam chętnie udzielię.

Pierwszą było, aby być posłusznym prawom i obyczajom mego kraju, dzierżąc się stale religii, w której Bóg dozwolił mi łaskawie wyrosnąć od dzieciństwa. We wszelkiej innej rzeczy, postanowiłem prowadzić się wedle mniemań najbardziej umiarkowanych i najbardziej oddalonych od wszelkiego wybryku, oraz powszechnie przyjętych w praktyce przez najroztropniejszych między tymi, z którymi mi żyć wypadnie. Zaczynając bowiem od owego czasu nie liczyć za nic moich własnych mniemań (z przyczyny iż chciałem je wszystkie poddać egzaminowi), byłem pewien, iż nie mogę uczynić nic lepszego, jak iść za mniemaniami ludzi najrozumniejszych. A mimo że mogli znajdować się może ludzie równie rozsądni wśród Persów lub Chińczyków, co wśród nas, zdawało mi się, że najużyteczniejszym będzie prowadzić się wedle tych, z którymi żyć mi wypadło. Aby zaś wiedzieć, jakie są naprawdę ich mniemania, postanowiłem raczej baczyć na to, co czynią, niż na to, co mówią, nie tylko z tej przyczyny, iż w skażeniu naszych obyczajów niewielu jest ludzi, którzy by chcieli powiedzieć wszystko, co myślą, ale także z tej, iż często sami tego nie wiedzą. Czynność myśli, przez którą wierzy się w jakąś rzecz, różną jest od tej, przez którą nabywa się świadomości tego, iż się w nią wierzy: — jedno może istnieć bez drugiego. Między rozmaitymi mniemaniami jednak mającymi obieć, wybierałem zawsze najbardziej umiarkowane, zarówno dlatego iż są one najdogodniejsze w praktyce i prawdopodobnie najlepsze, jako iż wszelki nadmiar bywa najczęściej zły; jak również, aby mniej się odwracać od prawdziwej drogi, w razie gdybym pobłądził i gdybym wybrał jedną ostateczność, podczas gdy właśnie trzeba by wybrać przeciwną. A szczególnie mieściłem pomiędzy zdrożności wszystkie obietnice, przez które okrawa się coś z własnej swobody; nie iżbym ganil prawa, które, chcąc zaradzić niestałości słabych umysłów, pozwalają, kiedy się ma jakiś dobry zamiar lub nawet, dla pewności stosunków, zamiar sam w sobie obojętny, aby się czyniło śluby lub zobowiązania, które zmuszają do wytrwania w nim; ale z tej przyczyny, iż nie widziałem na świecie żadnej rzeczy, która by pozostawała zawsze w tym samym stanie, i że, co się mnie tyczy, obiecywałem sobie doskonalić coraz bardziej moje sądy, a nie pogarszać je; byłbym zatem mniemał, iż popełniam wielki błąd przeciw zdrowemu rozsądkowi, gdybym, dlatego że pochwalałem wprzódy jakąś rzecz, miał się zobowiązywać uważać ją za dobrą jeszcze później, kiedy, być może, przestanie nią być, lub też ją przestanę uważać ją za taką.

Drugą zasadą było być możliwie najbardziej stałym i niewzruszonym w postępkach, i trzymać się mniemań nawet najbardziej wątpliwych, skoro już raz do nich przystąpię, niemniej pewnie, co gdyby były bardzo ugruntowane. Naśladowałem w tym podróżnych, którzy, zbłąkawszy się w lesie, nie powinni błędzić, kołując to w jedną, to w drugą stronę, ani, tym mniej, zatrzymywać się w miejscu, ale iść zawsze najprościej jak zdołają w tym samym kierunku, i nie zmieniać go dla błahych racji, mimo że z początku może sam tylko przypadek skłonił ich do jego wyboru; za pomocą bowiem tego środka, jeśli nie idą ściśle tam, gdzie pragną, dojdą przynajmniej w końcu gdzieś, gdzie prawdopodobnie będzie im lepiej niż w pośrodku lasu. Często, czynności życia nie cierpią żadnej zwłoki; skoro tedy nie jest w naszej mocy rozpoznać najprawdziwszych mniemań, winniśmy iść za najbardziej prawdopodobnymi. Choćbyśmy nawet nie widzieli więcej prawdopodobieństwa w jednych niż w drugich, powinniśmy wszelako przychylić się ku niektórym i uważać je później, w odniesieniu do praktyki, już nie jako wątpliwe, ale jako zupełnie prawdziwe i pewne, z tej przyczyny, iż powód, jaki nas skłonił do nich, jest taki. Dzięki temu, zdołałem się odtąd uwolnić od żalów i wyrzutów dręczących zazwyczaj sumienie umysłów słabych i chwiejnych, które, bez zastanowienia, chwytają się jakiejś rzeczy jako dobrej, aby ją później osądzić za złą.

Obyczaje, Mądrość

Przysięga

Trzecią mą zasadą było starać się zawsze zwyciężyć raczej siebie niż los, i raczej odmienić me pragnienia niż porządek świata, i na ogół przyzwyczać się do przeświadczenia, iż nie masz nic, co by było zupełnie w naszej mocy, prócz naszej myśli. Skoro zatem odnośnie do rzeczy będących na zewnątrz nas zrobiliśmy, co było w naszej możliwości, wszystko, co nas oddala od pomyślnego wyniku, jest w stosunku do nas bezwarunkowo niemożliwe. To jedno zdało mi się wystarczające, iżbym na przyszłość nie pragnął niczego, czego bym nie mógł zdobyć, a tym samym, aby mnie uczynić zadowolonym. Wola nasza skłania się z natury ku pragnieniu tylko tych rzeczy, które nasze pojęcie przedstawia poniekąd za możliwe; jeżeli tedy będziemy uważać wszystkie dobra będące na zewnątrz nas jako jednakowo oddalone od naszej mocy, tak samo nie będziemy czuli żalu, iż nam chybiły te, które zdają się być nam należne od urodzenia, kiedy stracimy je bez naszej winy, jak nie rozpaczamy, iż nie posiadamy królestwa Chin albo Meksyku. Czyniąc, jak powiadają, z konieczności cnotę, tak samo nie będziemy pragnąć zdrowia będąc chorzy, a wolności będąc w więzieniu, jak obecnie nie pragniemy posiadać ciała z materii równie niepodlegającej skażeniu jak diament albo też skrzydeł, aby latać jak ptaki. Ale przyznaję, iż trzeba długiego ćwiczenia i często powtarzanej medytacji, aby się przyzwyczać do patrzenia pod tym kątem na wszystkie rzeczy; i sądzę, że na tym głównie polegała tajemnica owych dawnych filozofów, którzy zdołali umknąć się władzy losu i mimo cierpień i ubóstwa współzawodniczyć co do szczęśliwości z bogami. Zajmując się bez ustanku rozważaniem granic, jakie naznaczyła im natura, dochodzili do tak doskonałego przeświadczenia, że nic nie jest w ich mocy, prócz ich myśli, że to jedno wystarczało, aby ich wstrzymać od przywiązywania się do jakiegokolwiek innej rzeczy. Rozporządzali pragnieniami swymi tak absolutnie, iż mieli w tym niejaki racje uważać się za bogatszych i potężniejszych, i wolniejszych, i szczęśliwszych niż którykolwiek z innych ludzi, którzy, nie mając tej filozofii, choćby byli najbardziej uposażeni od natury i losu, nigdy nie rozporządzają w ten sposób tym, czego pragną.

Wreszcie, jako konkluzję tych zasad moralnych umyśliłem uczynić przegląd rozmaitych zatrudnień, jakie ludzie mają w tym życiu, aby starać się wybrać najlepsze. Nie wydając sądu o zatrudnieniach innych, sądziłem, iż nie mogę uczynić nic lepszego, jak iść dalej w tym, które podjąłem, to znaczy obrócić całe życie na rozwijanie mego rozumu i posuwanie się, ile mi będzie możebne, w poznaniu prawdy, wedle metody, jaką sobie przepisałem. Doświadczyłem tak ogromnego zadowolenia od czasu, jak zacząłem posługiwać się tą metodą, iż nie sądziłem, aby można było doznać w tym życiu większych ani bardziej niewinnych słodyczy. Odkrywając codziennie, za jej pomocą, jakieś prawdy, które mi się zdawały dość ważne a powszechnie nieznanne innym ludziom, odczuwałem w duchu taką radość, iż wszystko inne było mi obojętne. Zresztą, trzy poprzednie maksymy były oparte jedynie na zamiarze, jaki powziąłem, aby iść dalej w oświecaniu się. Skoro Bóg dał każdemu jakieś światło, aby rozróżniać prawdę od fałszu, nie byłbym mniemał, iż powinienem się bodaj chwilę zadowolić mniemaniami drugiego, gdybym nie był zamierzył użyć własnego sądu na zbadanie ich w odpowiednim czasie. Nie byłbym umiał wyzbyć się skrupułów, idąc za nimi, gdybym nie miał nadziei, iż nie stracę dlatego żadnej sposobności znalezienia lepszych, jeżeli istnieją. Nie byłbym wreszcie umiał ograniczyć moich pragnień ani czuć się zadowolonym, gdybym nie poszedł drogą, na której, w przekonaniu, iż posiadam pewność nabycia wszystkich wiadomości, do jakich jestem zdolny, mniemałem, iż tym samym środkiem mam pewność nabycia wszystkich prawdziwych dóbr, jakie będą kiedykolwiek w mojej mocy. Wola nasza skłania się do ścigania lub unikania wszelkiej rzeczy jedynie wedle tego, czy nasze pojęcie przedstawi nam ją za dobrą albo za złą; wystarczy tedy dobrze sądzić, aby dobrze czynić, i sądzić najlepiej, jak umiemy, aby czynić też najlepiej, jak w naszej mocy, to znaczy nabyć wszystkie cnoty, a wraz wszystkie inne dobra, jakie da się nabyć; i kiedy się jest pewnym, że się to osiągnęło, niepodobna nie czuć się szczęśliwym.

Upewniwszy się w ten sposób co do tych zasad i odłożywszy je na stronę wraz z prawdami wiary, które zawsze były na pierwszym miejscu w moich wierzeniach, osądziłem, iż, co do reszty mniemań, mogę swobodnie przystąpić do ich uprzątnięcia. Otóż, spodziewałem się lepiej z tym uporać, obcując z ludźmi, niż pozostając dłużej zamknięty w komorze, gdzie począłem wszystkie te myśli: zima tedy jeszcze niezupełnie dobiegła końca, a ja już puściłem się w drogę. I przez całe następne dziewięć lat czyniłem nie

co innego, jak tylko tłułem się tu i tam po świecie, starając się być raczej widzem niż aktorem we wszystkich komediach, jakie się na nim odgrywa. Rozważając w każdym przedmiocie szczególnie to, co mogłoby go uczynić podejrzanym i dać nam sposobność do omyłki, wykorzystałem równocześnie z mego umysłu wszystkie błędy, jakie mogły się weń wprzód wśliznąć. Nie iżbym w tym naśladował sceptyków, którzy wątpią, aby wątpić, i lubują się zawsze w niezdecydowaniu; przeciwnie, cały mój zamiar dążył tylko ku temu, aby się upewnić. Odrzucałem ruchomą ziemię i piasek, aby natrafić na skałę lub glinę. Udawało mi się to, jak sądzę, dość dobrze, ile że, starając się odkryć fałszywość lub niepewność twierdzeń, jakie rozpatrywałem, nie za pomocą słabych przypuszczeń, ale za pomocą jasnych i pewnych rozumowań, nie spotykałem wśród nich tak wątpliwego, z którego bym nie wyciągnął jakiejś dość pewnej konkluzji, choćby tej właśnie, iż nie zawiera ono nic pewnego. I jako burząc stare domostwo, zachowuje się zazwyczaj gruz, aby się nim posłużyć ku zbudowaniu nowego, tak niwecząc wszystkie mniemania, które osądziłem jako źle ugruntowane, czyniłem rozmaite spostrzeżenia i nabywałem mnogich doświadczeń, które posłużyły mi później ku zbudowaniu pewniejszych. Co więcej, ćwiczyłem się wciąż w metodzie, jaką sobie przepisałem; poza tym bowiem, iż starałem się na ogół prowadzić wszystkie moje myśli wedle reguł, zachowywałem sobie, od czasu do czasu, kilka godzin, które obracałem osobiście na ćwiczenie się w trudnościach matematycznych lub nawet także w niektórych innych, które mogłem niejako upodobnić do matematycznych, odłączając je od zasad wszystkich nauk, które mi się nie zdawały dość pewne, jako ujrzycie, iż uczyniłem w wielu wyłożonych w tymże tomie<sup>16</sup>. I tak, nie żyjąc na pozór w inny sposób niż ci, którzy, nie mając innego zadania, jak tylko pędzić życie lube a niewinne, starają się oddzielić przyjemności od błędów, i którzy, aby się cieszyć swoim wczasem nie nudząc się, zażywają wszystkich godziwych rozrywek, nie zaniedbywałem statecznego posuwania się w moim zamiarze i zapuszczania się w poznanie prawdy, być może więcej, niż gdybym był tylko czytał książki lub obcował z uczonymi.

Bądź co bądź, dziewięć lat spłynęło, zanim powziąłem jakieś postanowienie dotyczące trudności, jakie zazwyczaj są przedmiotem dysput między uczonymi, i zanim zacząłem szukać podstaw jakiejś filozofii, pewniejszej niż owa pospolita. Przykład wielu wybornych umysłów, które, miawszy przede mną ten zamiar, nie zyskały w nim, o ile mi się zdaje, powodzenia, sprawiał, iż wyobrażałem w tym sobie ogromne trudności. Nie byłbym może jeszcze długo ośmielił się podjąć tego zadania, gdyby nie doszło mych uszu, iż niektórzy już puszczają w obieg pogłoski, że się uporał z tym dziełem. Nie umiałbym powiedzieć, na czym gruntuwali to mniemanie. Jeżeli przyczyniłem się w czym do niego przez moje odezwania, to chyba tym, iż przyznawałem się nieco szczerzej do tego, czego nie wiedziałem, niż zwykli czynić ludzie cokolwiek obcy z naukami, a być może także tym, iż ukazywałem raczej, jakie miałem, aby wątpić o wielu rzeczach, które inni uważali za pewne; — raczej niż żebym się chętniej jakąkolwiek wiedzę. Ale, mając serce dość uczciwe, aby nie chcieć, by mnie brano za co innego niż jestem, pomyślałem, iż trzeba, abym się starał wszelkimi sposobami stać godnym reputacji, jaką mi dawano. Oto mija właśnie osiem lat, jak pragnienie to kazało mi się oddalić od wszystkich miejsc, gdzie mógłbym mieć znajomych, i usunąć się tu, w kraj, gdzie długie trwanie wojny ustanowiło takie porządki, iż zdawałoby się, że wojska tutejsze służą jeno ku temu, aby można było z większym bezpieczeństwem kosztować słodczy pokoju, i gdzie, między ciżbą wielkiego narodu, bardzo czynnego i bardziej dbałego o własne sprawy niż ciekawego cudzych, nie cierpiąc braku żadnej z dogodności, jakie znajdują się w najbardziej uczęszczanych miastach, mogłem żyć równie samotny i usunięty od świata, co na najbardziej odludnej pustyni.

## CZEŚĆ CZWARTA

Nie wiem, czy powinienem wam opowiadać o pierwszych moich rozmyślaniach; są one bowiem tak oderwane, metafizyczne i tak niezwykłe, iż nie wszystkim będą może do smaku; jednakże, iżby można było osądzić, czy podstawy, jakie obrałem, są dość mocne, czuję się, do pewnego stopnia, zmuszony mówić o nich. Od dawna zauważyłem, że dla

<sup>16</sup>w tymże tomie — *Dioptryka, Meteory i Geometria* ukazały się zrazu w tym samym tomie, co ta rozprawa. [przypis tłumacza]

obyczajów dobrze jest iść niekiedy za mniemaniami, o których się wie, że są bardzo niepewne, tak jak gdyby były niewątpliwe (jako rzekłem już powyżej); ale, ponieważ wówczas pragnąłem poświęcić się tylko poszukiwaniu prawdy, sądziłem, iż trzeba mi począc sobie wręcz przeciwnie, i odrzucić jako bezwarunkowo fałszywe wszystko to, w czym mógłbym powziąć najmniejszą wątpliwość, aby się przekonać, czy nie zostanie potem w moim wierzeniu coś, co by było zupełnie niewątpliwe. Tak, z przyczyny iż zmysły nasze zwodzą nas niekiedy, przyjąłem, że żadna rzecz nie jest taka, jak one nam przedstawiają. Ponieważ istnieją ludzie, którzy się myślą w rozumowaniu nawet odnośnie do najprostszych przedmiotów geometrii i wpadają w mylne wnioski, pomyślałem, iż ja jestem podległy błędom równie jak każdy inny i odrzuciłem jako fałszywe wszystkie racje, które przyjąłem niegdyś jako dowiedzione. Wreszcie, uważając, że wszystkie te same myśli, jakie mamy na jawie, mogą nam przychodzić wówczas, kiedy śpimy, a wówczas żadna z nich nie jest prawdziwa, postanowiłem przyjąć, iż wszystkie rzeczy, jakie weszły w mój umysł, nie bardziej są prawdziwe niżli złudzenia senne. Ale równocześnie zastanowiłem się, iż podczas gdy silę się przypuścić, że wszystko jest fałszywe, trzebaż, abym ja, który to myślę, był czymś; i zważając, iż ta prawda: *myślę, więc jestem*, jest tak pewna i niezłomna, że wszystkie najskrajniejsze przypuszczenia sceptyków nie są zdolne jej obalić, osądziłem, iż mogę ją przyjąć bez skrupułu za pierwszą zasadę filozofii, której szukałem.

Filozof, Mądrość, Sen

Następnie, rozpatrując z uwagą, czym jestem, uznałem, iż mogę udać, jakobym nie miał ciała i jakoby nie było żadnego świata ani miejsca gdzie bym był; nie mogę wszelako udać, jakobym nie istniał. Przeciwnie, z tegoż właśnie, iż zamierzałem wątpić o prawdzie innych rzeczy, wynikało bardzo jasno i pewnie, że istnieje; natomiast, gdybym tylko przestał myśleć, choćby nawet wszystka reszta tego, co sobie wyobraziłem, była prawdą, nie miałbym żadnej przyczyny mniemać, iż istnieje. Poznałem stąd, że jestem substancją, której całą istotą lub przyrodą jest jeno myślenie i która, aby istnieć, nie potrzebuje żadnego miejsca, ani nie zależy od żadnej rzeczy materialnej; tak iż to *ja*, to znaczy dusza, przez którą jestem tym, czym jestem, jest zupełnie odrębna od ciała, a nawet jest łatwiejsza do poznania niż ono, i że, gdyby nawet ono nie istniało, byłaby i tak wszystkim czym jest.

Dusza, Ciało

Następnie, rozważyłem w ogólności, czego potrzeba, aby twierdzenie jakieś było prawdziwe i pewne; skoro bowiem znalazłem twierdzenie, o którym wiedziałem, że jest pewne, sądziłem, iż powinienem również wiedzieć, na czym polega ta pewność. I zastanowiwszy się, iż w owym: *myślę, więc jestem*, nie ma nic, co by mnie upewniało, iż mówię prawdę, prócz tego, iż widzę bardzo jasno, że aby myśleć, trzeba *być*, osądziłem, iż mogę przyjąć jako powszechne prawidło, że rzeczy, które pojmujemy bardzo jasno i bardzo wyraźnie, są prawdą: zachodzi tylko niejaką trudność w tym, aby dobrze zważyć, które to rzeczy pojmujemy tak wyraźnie.

Zastanowiłem się dalej, iż są rzeczy, o których wątpię, i że tym samym istota moja nie jest zupełnie doskonała; widziałem bowiem jasno, iż *znać* jest większą doskonałością niż *wątpić*. Umyśliłem tedy dochodzić, skąd nauczyłem się myśleć o czymś bardziej doskonałym niż ja sam, i poznałem oczywiście, iż musi to być z jakiejś natury, która jest w istocie bardziej ode mnie doskonała. Co się tyczy myśli moich o wielu innych rzeczach na zewnątrz mnie, jak niebo, ziemia, światło, ciepło, i tysiąc innych, nie byłem w takim kłopotcie, aby wiedzieć, skąd pochodzą. Nie widząc w nich nic, co by je miało czynić wyższymi nade mnie, mogłem mniemać, iż jeżeli są prawdziwe, wypływają z mojej natury, o ile posiada ona jakąś doskonałość; jeżeli nie prawdziwe, płyną snadź z nicości, to znaczy z tego we mnie, co posiadam ułomnego. Ale inna była sprawa z pojęciem istoty bardziej doskonałej niż moja; to bowiem, abym je czerpał z nicości, było rzeczą oczywiście niemożliwą. Że zaś myśl, aby coś doskonałego mogło być następstwem i zależnością od czegoś mniej doskonałego, jest równie odpychająca, jak to, aby coś mogło powstać z niczego, nie mogłem również posiadać tego pojęcia z samego siebie: tak iż pozostawało tylko, że pomieściła ją we mnie natura w istocie bardziej ode mnie doskonała, a nawet posiadająca sama w sobie wszystkie doskonałości, o których mogę mieć jakieś pojęcie, to znaczy, aby się wyrazić w jednym słowie, która jest Bogiem. Do tego dodałem, iż, ponieważ znam niejakie doskonałości, których mi zbywa, nie jestem jedyną istotą, jaka istnieje (posłużę się, jeśli pozwolicie, swobodnie szkolnymi terminami), ale że musi koniecznie istnieć jeszcze jakaś inna, bardziej doskonała, od której jestem zależny i od

której nabyłem wszystko, co posiadam. Gdybym bowiem był sam i niezależny od czego bądź innego, tak iż z siebie samego posiadałbym to niewiele, czym zbliżony jestem do doskonałej Istoty, z tą samą racją mógłbym posiadać z siebie całą resztę, której braku mam świadomość i w ten sposób być samemu nieskończonym, wiecznym, niezmiennym, wszystkowiedzącym, wszechmogącym, słowem, mieć wszystkie doskonałości, które mogłem odkryć w Bogu. Wedle powyższego rozumowania, aby poznać naturę Boga, o tyle o ile moja natura jest do tego zdolna, trzeba mi było jedynie zważyć o każdej rzeczy, której jakiś cień znajdowałem w sobie, czy jest doskonałością posiadać ją, czy nie. Mogłem przyjąć za pewnik, że żadna z tych, które znamionują jakąś niedoskonałość, nie będzie w nim, ale że wszystkie inne będą. Tak widziałem, iż wątpliwość, niestałość, smutek i podobne rzeczy nie mogą w nim być, zważywszy że ja sam wielce rad się czułem, gdy byłem od nich wolny. Następnie, poza tym, miałem pojęcie wielu rzeczy dotykalnych i cielesnych; choćbym bowiem przypuścił, że śnię i że wszystko, co widzę lub wyobrażam sobie, jest fałszywe, nie mogłem wszelako zaprzeczyć, że pojęcia te znajdują się istotnie w mojej myśli. Poznałem dalej w sobie bardzo jasno, że natura myśląca różna jest od cielesnej; otóż, zważywszy że wszelkie złożenie świadczy o zależności, zależność zaś jest oczywistym brakiem, osądziłem, iż Bóg, jako doskonały, nie może być i, tym samym, nie jest złożonym z tych dwóch natur; jeżeli natomiast istnieją w świecie jakieś ciała lub też jakieś inteligencje lub inne natury niezupełnie doskonałe, istnienie ich musi zależeć od jego potęgi, w ten sposób, iż nie mogą trwać bez niego ani sekundy.

Chciałem szukać przez chwilę innych prawd. Wziąłem pod uwagę przedmiot geometrów, który pojmowałem jako ciało ciągłe lub przestrzeń nieskończenie rozciągniętą w długość, szerokość i wysokość lub głąb, podzielne na różne części, które mogą mieć rozmaite kształty i wielkości i mogą poruszać się lub przenosić we wszelaki sposób. Takie bowiem zasady przyjmują geometryści w swoim przedmiocie. Przebiegłem kilka z ich najprostszych demonstracji, i doszedłem, że ta niezłomna pewność, jaką świat im przypisuje, oparta jest na tym, iż wyraźnie się je pojmuje, zgodnie z regułą, którą dopiero co wymieniałem. Ale doszedłem równocześnie, że nie ma w nich nic, co by mnie upewniało o istnieniu tych przedmiotów. Na przykład, widziałem dobrze, iż, skoro przypuści się trójkąt, muszą jego trzy kąty być równe dwóm kątom prostym, ale nie widziałem jeszcze nic, co by mnie upewniało, iż istnieje na świecie jakiś trójkąt; podczas gdy, wracając do rozpatrywania mego pojęcia o doskonałej istocie, znajdowałem, iż istnienie jej jest w niej zawarte w ten sam sposób, w jaki zawarte jest w istnieniu trójkąta to, iż trzy jego kąty równe są dwóm prostym, lub w istnieniu kuli, że wszystkie jej części jednako są oddalone od środka, lub może jeszcze oczywiście. Stąd wynika, iż istnienie Boga, który jest tą istotą tak doskonałą, jest co najmniej równie pewnym, jak może być pewnym jakikolwiek dowód geometryczny.

Bóg

To, że wielu ludzi żyje w przeświadczeniu, iż trudno go jest poznać, a również trudno poznać, czym jest ich dusza, pochodzi stąd, że nie wnoszą nigdy umysłu ponad rzeczy dotykalne i tak są przyzwyczajeni zważać wszystko jedynie wyobrażeniem, który to sposób myślenia właściwy jest dla rzeczy materialnych, iż wszystko, co się nie da wyobrazić, wydaje się im niezrozumiałe. Wyraża się to jasno w tym, co nawet filozofowie głoszą za pewnik w swoich szkołach, iż nie ma nic w pojęciu, co by nie było pierwotnie w zmysłach, a wszak pewne jest, że pojęcie Boga ani duszy nigdy w nich nie powstało. Zdaje mi się, że ci, którzy chcą posługiwać się wyobraźnią, aby zrozumieć te pojęcia, czynią tak samo, jak gdyby chcieli się posłużyć oczami, aby słyszeć dźwięki lub czuć zapachy; a jeszcze jest ta różnica, że zmysł wzroku nie mniej upewnia nas o prawdzie tych przedmiotów jak zmysł powonienia lub słuchu, podczas gdy ani wyobraźnia, ani zmysły nie zdołałyby nas nigdy upewnić o żadnej rzeczy, o ile by rozum nie użyczył swego pośrednictwa.

Wreszcie, jeżeli istnieją jeszcze ludzie, którzy, na podstawie racji, jakie przytoczyłem, nie byłiby dostatecznie przekonani o istnieniu Boga i duszy, pragnę, aby wiedzieli, iż wszystkie inne rzeczy, co do których czują się może bardziej upewnieni, jak to np. że mają ciało i że istnieją gwiazdy i ziemia, i podobne rzeczy, są mniej pewne; mimo bowiem, iż ma się pewność moralną tych rzeczy (tak dalece, iż wydaje się, że, nie chcąc być szaleńcem, nie można o nich wątpić), wszelako także, kiedy chodzi o pewność metafizyczną, nie można zaprzeczyć, nie chcąc popaść w niedorzeczność, iż, dla obudzenia wątpliwości w tej mierze, wystarczy zastanowić się, że można w ten sam sposób wyobra-



zić sobie, będąc uśpionym, że się ma inne ciało i widzi się inne gwiazdy i inną ziemię, które naprawdę nie istnieją. Skąd bowiem wiemy, że myśli, które przychodzą we śnie, są bardziej fałszywe niż tamte inne, zważywszy iż często są nie mniej żywe i wyraźne? I niechaj najtęższe umysły parają się z tym, ile się im podoba, nie sądząc, iżby mogły dać jakąkolwiek rację wystarczającą, aby odjąć tę wątpliwość, jeśli nie przyjmą istnienia Boga. Po pierwsze, toż właśnie, co wprzód wziąłem za prawidło, mianowicie że rzeczy które pojmujemy bardzo jasno i bardzo wyraźnie są wszystkie prawdziwe, pewnym jest jedynie z tej przyczyny, że Bóg jest lub istnieje, że jest istotą doskonałą, i że wszystko, co jest w nas, pochodzi z niego. Stąd wynika, iż, ponieważ nasze myśli lub pojęcia są to rzeczy rzeczywiste i pochodzące z Boga, we wszystkim, w czym są jasne i wyraźne, muszą być prawdziwe. Owo, jeżeli mamy dość często myśli zawierające fałsz, mogą to być jedynie takie, które zawierają w sobie coś mętnego i ciemnego; zbliżają się w tym do nicości, to znaczy jawią się w nas tak mętnie jedynie z przyczyny, iż nie jesteśmy zupełnie doskonali. Toć nie mniej obmierzyłm byłoby pomyśleć, aby fałsz lub niedoskonałość miała, jako taka, pochodzić z Boga, co mniemać, iż prawda lub doskonałość może pochodzić z nicości. Ale, gdybyśmy nie wiedzieli, że wszystko, co w nas jest rzeczywistego i prawdziwego, pochodzi z istoty doskonałej i nieskończonej, wówczas, choćby nawet myśli nasze były najbardziej jasne i wyraźne, nie mielibyśmy żadnej racji, która by nas upewniała, iż zawierają one doskonałą prawdę.

Owóż, skoro poznanie Boga i duszy utwierdziło nas w pewności tego prawidła, łatwo poznać, iż majaki, jakie roimy we śnie, nie powinny w nas zgoła budzić wątpliwości o prawdzie myśli naszych na jawie. Gdyby się bowiem zdarzyło, nawet we śnie, iż ktoś miałby jakąś myśl bardzo wyraźną (gdyby, na przykład, geometra wymyślił jaki nowy dowód), myśl ta, mimo iż we śnie poczęta, byłaby prawdziwa. Co zaś do najpospolitszego omamu snów, który polega na tym, iż przedstawiają nam one rozmaite przedmioty w ten sam sposób, jak to czynią nasze zewnętrzne zmysły, nie znaczy, abyśmy mieli z tego powodu wątpić o prawdziwości takich pojęć. Toć przecież mogą nas one oszukiwać dość często nawet, gdy nie śpimy. Tak ci, którzy mają żółtaczkę, widzą wszystko w kolorze żółtym; gwiazdy lub inne ciała bardzo oddalone wydają się nam o wiele mniejsze niż są. Ostatecznie bowiem, czy czuwamy, czy śpimy, nie powinniśmy nigdy dać się przekonać czemu innemu niż oczywistości naszego rozumu. Uważcie, iż mówię rozumu, a nie wyobraźni ani zmysłów. Z tego, że widzimy słońce bardzo jasno, nie powinniśmy sądzić, że ono jest tej wielkości, w jakiej je widzimy. Możemy sobie bardzo jasno wyobrazić głowę lwa na ciele kozy, z czego nie należy koniecznie wyciągać wniosku, iż istnieje na świecie chimera. Rozum nie powiada nam bynajmniej, iż to, co widzimy lub wyobrażamy sobie, jest prawdziwe, ale powiada, iż wszystkie nasze pojęcia lub wiadomości muszą mieć jakąś podstawę prawdy; nie byłoby bowiem inaczej możebne, aby Bóg, który jest wszelką doskonałością i wszelką prawdą, w nas je pomieścił. Co do tego zaś, że nasze rozumowania nie są nigdy tak oczywiste ani tak zupełne podczas snu jak na jawie (mimo iż niekiedy rojenia nasze są wówczas równie albo bardziej żywe i wyraźne), rozum powiada nam, iż, wobec tego że myśli nasze nie mogą być wszystkie prawdziwe, ponieważ nie jesteśmy zupełnie doskonali, prawda, jaką zawierają, musi niechybnie znajdować się w tych, jakie mamy na jawie, raczej niż w tych, które mamy we śnie.

## CZĘŚĆ PIĄTA

Byłbym bardzo rad przejść i ukazać tutaj cały łańcuch innych prawd, które wyprowadziłem z tych pierwszych; ale, ponieważ w tym celu trzeba by mi mówić o wielu zagadnieniach będących przedmiotem sporu między uczonymi, z którymi nie pragnę wejść w zwadę, sądząc, iż lepiej będzie, abym tego poniechał i wspomniał je jeno ogólnie, dając możliwość roztropniejszemu osądzić, czy będzie użyteczne, aby publiczność o nich szczegółowo powiadomić. Wytrwałem wciąż mocno w moim postanowieniu, aby nie przyjmować żadnej innej zasady, prócz tej, jaką się oto posłużyłem dla dowiedzenia istnienia Boga i duszy, i nie uznawać za prawdziwą żadnej rzeczy, która mi się nie będzie zdawać bardziej jasna i pewna niż dowód geometryczny. Mimo to, śmiem powiedzieć, iż nie tylko znalazłem sposób zadowolenia się w krótkim czasie odnośnie do wszystkich głównych szkopułów filozofii, ale także zauważyłem niejakię prawa, które Bóg tak niezłomnie usta-

nowił w przyrodzie i których taką świadomość wraził w naszą duszę, iż, zastanowiwszy się nad tym dostatecznie, nie możemy wątpić, że wszystko co istnieje i dzieje się na świecie, toczy się wedle nich. Następnie, rozważając porządek tych praw, odkryłem, jak sędzę, wiele prawd bardziej użytecznych i ważnych niż wszystko, czego nauczyłem się wprzód lub nawet czego spodziewałem się nauczyć.

Wobec tego, iż w osobnym traktacie, którego pewne względy nie pozwoliły mi ogłosić<sup>17</sup> starałem się wytłumaczyć te zasady, nie umiałbym ich lepiej dać poznać, jak powiadając tu ogólnie, co ten traktat zawiera. Miałem zamiar zamknąć w nim wszystkie zapatrywania, jakie, zanim zacząłem o tym pisać, miałem odnośnie do przyrody rzeczy materialnych. Ale, tak samo jak malarz, nie mogąc jednak dobrze przedstawić w płaszczyźnie obrazu wszystkich rozmaitych stron bryłowatego ciała, wybiera jedną z głównych, którą obraca ku światłu, inne zaś zostawia w cieniu, ukazując z nich tyle tylko, ile można widzieć z danego punktu, tak ja, lękając się, iż nie zdołam pomieścić w mojej rozprawie wszystkiego, co miałem w myśli, postanowiłem jedynie wyłożyć bardzo obszernie wszystko, co rozumiem o świetle. Następnie, w swoim czasie, zamierzałem dodać coś o słońcu i o gwiazdach stałych, jako iż od nich pochodzi światło niemal całkowicie; o niebie, ponieważ je przewodzi; o planetach, kometach i ziemi ponieważ je odbijają; a w szczególności o wszystkich ciałach, które są na ziemi, z tej przyczyny iż są albo zabarwione, albo przezroczyste, albo świetlne; wreszcie o człowieku, z tej przyczyny iż jest jego widzem. Nawet, aby zaciemnić nieco wszystkie te rzeczy i móc powiedzieć swobodniej, co o nich sędzę, nie będąc zmuszonym ani dzielić, ani odpierać mniemań przyjętych między uczonymi, postanowiłem zostawić cały ten nasz świat ich dysputom, i mówić jedynie o tym, co zdarzyłoby się w nowym świecie, gdyby Bóg stworzył gdzie teraz, w urojonych przestrzeniach, dosyć materii, aby go wytworzyć, gdyby poruszył, bez ładu i porządku, rozmaite części tej materii w ten sposób, iżby z niej stworzył chaos równie mętny, jak tylko poeci zdołają wyobrazić, i gdyby później uczynił nie co insze, jak tylko użył naturze swej zwyczajnej pomocy i pozwolił jej działać wedle praw, jakie ustanowił. Po pierwsze tedy, opisałem tę materię i starałem się ją przedstawić w ten sposób, iż nie ma nic w świecie, jak mi się zdaje, bardziej jasnego i zrozumiałego, wyjąwszy to, co powiedziałem tu wprzód o Bogu i duszy. Przyjąłem nawet umyślnie, że nie ma w niej żadnych z tych form lub właściwości, o których dysputuje się w szkołach, ani też na ogół żadnej rzeczy, której znajomość nie byłaby naszym duszom tak naturalna, iż nie można by nawet udawać, że się jej nie zna. Co więcej, pokazałem, jakie są te prawa natury i, nie opierając moich racji na żadnej innej zasadzie, jak tylko na nieskończonych doskonałościach Boga, starałem się wykazać wszystkie te prawa, co do których można by mieć jakąś wątpliwość, i pokazać, iż są one takie, że, gdyby nawet Bóg stworzył więcej światów, nie mógłby istnieć żaden, gdzie by te prawa nie zachowały swej mocy. Pokazałem, z kolei, w jaki sposób największa część materii tego chaosu musiała, w następstwie tych praw, rozmieścić się i ułożyć w pewien sposób, który ją czyni podobną naszemu niebu; w jaki sposób równocześnie niektóre jej części musiały utworzyć ziemię, inne zaś planety i komety, inne wreszcie słońce i gwiazdy stałe. I tu, rozwodząc się nad przedmiotem światła, wytłumaczyłem obszernie, jakie jest światło, które musi znajdować się w słońcu i w gwiazdach, i w jaki sposób przebywa ono stamtąd, w ciągu chwili, niezmierzone przestwory nieba, i w jaki sposób odbija się od planet i komet ku ziemi. Dodałem też wiele rzeczy tyczących substancji, położenia, ruchów i innych rozmaitych właściwości nieba i gwiazd; tak iż, jak sędzę, powiedziałem dosyć, aby dać poznać, iż nie spotkamy wśród zjawisk naszego świata nic, co by nie musiało lub przynajmniej nie mogło znaleźć zupełnego podobieństwa w zjawiskach świata który opisałem. Stąd, przeszedłem do osobliwego omawiania ziemi: wykazałem, w jaki sposób — mimo że umyślnie przypuściłem, iż Bóg nie nadał żadnej ciężkości materii, z której się ona składa — wszystkie cząstki jej dążą, mimo to, ściśle do jej środka; w jaki sposób, wobec tego iż na jej powierzchni znajduje się woda i powietrze, rozmieszczenie niebiosów i gwiazd, zwłaszcza księżycy, musi powodować przypływ i odpływ, podobny we wszystkich okolicznościach do owego, jaki widoczny jest w naszych morzach, a prócz tego, pewien prąd zarówno wody, jak powietrza, od wschodu ku zachodowi, taki jaki

Światło  
Stworzenie

<sup>17</sup>w osobnym traktacie, którego pewne względy nie pozwoliły mi ogłosić — *Traktat o Świecie czyli o Świetle*. [przypis tłumacza]

widzi się też między zwrotnikami. Omówiłem, w jaki sposób wody, morza, źródła i rzeki mogą w naturalny sposób się kształtować, i metale zjawiać w głębi ziemi, i rośliny rosnąć w polach, i w ogóle jak mogą powstawać wszystkie ciała, które nazywają się zmieszanymi lub złożonymi. Między innymi rzeczami, jako iż, po gwiazdach, nie znam nic na świecie, co by wydawało światło, jak tylko ogień, siliłem się wyłożyć bardzo jasno wszystko, co należy do jego przyrody; jak powstaje, jak się żywi, jak posiada niekiedy tylko ciepło bez światła, niekiedy zaś jeno światło bez ciepła, jak może wprowadzać rozmaite barwy w rozmaite ciała, i różne inne właściwości; w jaki sposób topi jedne a stwardnia drugie; w jaki sposób może je strawić niemal wszystkie lub zmienić w dym i popiół; i w jaki sposób z tych popiołów, samą mocą swego działania, tworzy szkło. Ponieważ zaś to przeobrażenie popiołu w szkło wydało mi się bardziej przedziwne niż jakakolwiek inna rzecz w naturze, przyłożyłem się z osobliwą przyjemnością do jej opisania.

Nie chciałem wszelako wnosić ze wszystkich tych rzeczy, że ten świat powstał w sposób, jaki podawałem, o wiele bowiem prawdopodobniejsze jest, że od samego początku, Bóg uczynił go takim, jakim miał być. Ale to pewna — i jest to mniemanie powszechnie przyjęte wśród teologów — że czynność, przez którą Bóg go obecnie utrzymuje, jest ta sama, co ta, mocą której go stworzył. Gdyby więc nawet z początku nie dał mu innej formy, jak tylko formę chaosu, byleby tylko, ustaliwszy prawa natury, użył jej pomocy do działania takiego, jakie jej jest zwyczajne, można mniemać, nie ujmując cudu stworzenia, że przez to samo wszystkie rzeczy czysto materialne mogły z czasem stać się takie, jakimi widzimy je obecnie. Natura ich o wiele łatwiejsza jest do pojęcia, kiedy się je widzi powolnie rodzące się w ten sposób, niż kiedy się je rozważa już gotowe.

Od opisu ciał nieożywionych i roślin przeszedłem do opisu istot żyjących, a w szczególności ludzi<sup>18</sup>. Ale, ponieważ nie miałem jeszcze w tym przedmiocie dosyć wiadomości, aby mówić o nich w tym samym sposobie, co o reszcie, to znaczy wykazując skutki z przyczyn i ukazując, z jakich zarodków i w jaki sposób natura je wydała, zadowolilem się przypuszczeniem, iż Bóg utworzył ciało człowieka zupełnie podobne do naszego ciała, tak co do zewnętrznej postaci, jak co do wewnętrznego ukształtowania narządów, nie tworząc go z innej materii jak ta, którą wprzód opisałem, i nie kładąc weni z początku żadnej rozumnej duszy ani też żadnej innej rzeczy mogącej służyć za duszę żyjącą lub czującą. Rozniecił tylko w jego sercu jeden z owych ogni bez światła, które już opisałem. Nie przypuszczałem też w człowieku innej natury, niż ta która rozgrzewa siano, kiedy się je schowa w zamknięciu zanim wyschnie, lub która powoduje robienie młodego wina w kadzi. Rozważając bowiem czynności, które mogą, w następstwie, mieścić się w tym ciełe, znajdowałem ściśle wszystkie te, jakie mogą być w nas, bez naszej myśli o tym, ani, tym samym, bez tego, aby nasza dusza (to znaczy ta część różna od ciała, o której powiedziano powyżej, iż przyrodą jej jest tylko myśleć) przyczyniała się do nich. Funkcje te są wszystkie jednakie, w czym można powiedzieć, iż zwierzęta bez rozumu podobne są do nas; nie mogłem natomiast znaleźć w nich żadnej z tych funkcji, które, jako zależne od myśli, są jedyną wyłączną właściwością człowieka. Znalazłem je natomiast wszystkie później, skorom przyjął, iż Bóg stworzył duszę rozumną i że ją złączył z tym ciałem w pewien sposób, który opisałem<sup>19</sup>.

Ale, iżby można było widzieć, w jaki sposób ująłem ten przedmiot, pragnę pomieścić tu wytłumaczenie ruchu serca i tętnic. Ponieważ czynność ta jest pierwszą i najpowszechniejszą, jaką widzi się u zwierząt, można stąd będzie łatwo osądzić, co należy myśleć o wszystkich innych. Iżby zaś łatwiej było zrozumieć to, co powiem w tym przedmiocie, chciałbym, iżby ci, którzy nie są obznajmieni z anatomią, zadali sobie, przed przeczytaniem, ten trud, aby dać przy sobie rozciąć serce jakiegoś wielkiego zwierzęcia mającego płuca (jest bowiem we wszystkim dość podobne do serca człowieka) i aby kazali sobie pokazać dwie komory albo wklęsłości, które się w nim znajdują. Najpierw tę, która jest po stronie prawej i której odpowiadają dwie rury bardzo szerokie, a mianowicie: żyła czcza, będąca głównym zbiornikiem krwi i jak gdyby pniem drzewa, którego wszystkie inne żyły ciała są gałęziami, i żyła tętnicza, niewłaściwie tak nazwana, w istocie bowiem jest to

<sup>18</sup>Od opisu ciał nieożywionych i roślin przeszedłem do opisu istot żyjących, a w szczególności ludzi — *Traktat o człowieku i o kształtowaniu się płodu*. [przypis tłumacza]

<sup>19</sup>skorom przyjął, iż Bóg stworzył duszę rozumną i że ją złączył z tym ciałem w pewien sposób, który opisałem — *Traktat o człowieku*. [przypis tłumacza]

tętnica, która, biorąc początek w sercu, rozdziela się, wyszedłszy zeń, na liczne gałęzie, rozchodzące się wszędzie po płucach. Następnie, komorę będącą po lewej stronie, której odpowiadają tak samo dwie rury, równie albo jeszcze bardziej szerokie niż poprzednie; mianowicie: tętnica żylna, którą tak niewłaściwie nazwano, jako że jest nie czym innym, jak żyłą, która bieży z płuc, gdzie dzieli się na liczne gałęzie splecione z gałązkami żyły tętniczej, jak również z odnogami przewodu, który się zwie tchawicą, a którym wchodzi powietrze do oddychania; oraz wielką tętnicę, która, wychodząc z serca, wysyła odnogi po całym ciele. Chciałbym także, aby moi czytelnicy obejrzeni starannie jedenaście małych błonek, które, niby tyleż małych dziurek, otwierają i zamykają cztery otwory znajdujące się w tych dwóch jamach, a mianowicie: trzy przy wejściu do żyły czczej, gdzie są tak rozmieszczone, iż nie mogą zgoła przeszkodzić, aby krew, jaką ona zawiera, nie płynęła do prawej jamy serca, zapobiegają natomiast dokładnie, aby z niej wyszła; trzy przy wejściu do żyły tętniczej, które, umieszczone wręcz przeciwnie, pozwalają krwi będącej w tej jamie przejść do płuc, natomiast krwi będącej w płucach nie pozwalają wrócić do serca; tak samo dwie inne u wejścia do tętnicy żylnnej, które krwi z płuc pozwalają płynąć do lewej jamy serca, ale przeszkadzają jej powrotowi; a trzy u wejścia wielkiej arterii, które pozwalają krwi wyjść z serca, ale nie pozwalają jej wrócić. I nie potrzeba szukać innej racji ilości tych błonek, jak tylko, że otwór tętnicy żylnnej, będąc owalny z racji swego umieszczenia, może się łatwo zamknąć dwiema, podczas gdy inne otwory, będąc okrągłe, snadniej dopełniają tego trzema błonkami. Co więcej, chciałbym, aby zwrócono uwagę, iż wielka tętnica i żyła tętnicza są utkania o wiele twardszego i mocniejszego niż tętnica żylna i żyła czcza, i że te dwie ostatnie rozszerzają się, zanim wejdą do serca, i tworzą niby dwa worki, nazwane przedsiolkami, utworzone z tkanki podobnej jak serce; i że zawsze panuje więcej ciepła wewnątrz serca, niż w jakimkolwiek innym miejscu ciała. Ciepło jest przyczyną, iż, kiedy kropla krwi dostanie się do jam serca, wówczas wzdyma się rychło i paruje, jak czynią powszechnie wszystkie płyny, kiedy się je puszcza kroplami do rozgrzanego naczynia<sup>20</sup>.

Po tym wszystkim bowiem nie potrzebuję już powiedzieć nic innego, aby wytłumaczyć ruch serca, jak tylko, iż, kiedy jamy jego nie są wypełnione krwią, dopływa ona z konieczności z żyły czczej do prawej, i z tętnicy żylnnej do lewej jamy, ile że oba te naczynia są zawsze pełne krwi i że ich otwory, które zięją ku sercu, nie mogą wówczas ulec zatkananiu. Skoro natomiast wejdą do serca dwa strumienie krwi, każdy do jednej z jego jam, strumienie te, które muszą być bardzo duże (z przyczyny iż otwory, którymi wchodzi, są bardzo szerokie, a naczynia, z których płyną, bardzo pełne krwi), rozrzedzają się i parują z przyczyny istniejącego tam ciepła; dzięki czemu, wzdymając całe serce, popychają i zamykają pięć małych drzwiczek, które są u wejścia wspomnianych naczyń, nie pozwalając w ten sposób, aby weszło więcej krwi do serca. Rozrzedzając się w dalszym ciągu coraz więcej, te strumienie krwi popychają i otwierają sześć innych małych drzwiczek, znajdujących się u wejścia dwóch innych rur, którymi wychodzą, napełniając tym sposobem wszystkie gałęzie żyły tętniczej i wielkiej tętnicy.

Równocześnie serce, w tej samej chwili prawie, opada, jak również i te tętnice, z tej przyczyny, iż krew, która weszła do nich, oziębła się. Za czym sześć drzwiczek zamyka się, owe zaś pięć furtek żyły czczej i tętnicy żylnnej otwiera się, dając wejście dwóm nowym strumieniom krwi, które znowu wypełniają serce i tętnice, tak samo jak poprzedzające. Że zaś krew, która wchodzi do serca, przechodzi przez te dwie torebki, nazwane przedsiolkami serca, przeto ruch ich przeciwny jest do ruchu serca: one opróżniają się, kiedy serce się wzdyma. Zresztą, iżby ci, którzy nie znają siły demonstracji fizycznych i nie są przyzwyczajeni odróżniać racji prawdziwych od prawdopodobnych, nie puszczali się na zaprzeczenie temu bez rozpatrzenia, chcę ich uprzedzić, że ten ruch, który oto wytłumaczyłem, wypływa równie koniecznie z samej budowy organów, które można naocznie oglądać w sercu, i z ciepła, które można czuć palcami, i z natury krwi, którą można po-

<sup>20</sup> Ciepło jest przyczyną, iż, kiedy kropla krwi dostanie się do jam serca, wówczas wzdyma się rychło i paruje, jak czynią powszechnie wszystkie płyny, kiedy się je puszcza kroplami do rozgrzanego naczynia — Ten szczegół wybornego zresztą i bardzo nowego wówczas objaśnienia czynności serca jest błędny. Nie ciepło panujące w sercu jest przyczyną ruchu krwi, ale regularne skurcze i rozkurcze mięśnia sercowego, działające jak pompa ssąco-tłocząca. Teoria krążenia krwi spotykała długo w medycynie zaciętych przeciwników, których jeszcze Molier smaga szyderstwem. [przypis tłumacza]

znać doświadczalnie, jak ruch zegara wynika z siły, ustawienia i kształtu jego przeciwwagi i kólek.

Jeśli kto zapyta, w jaki sposób krew z żył nie wyczerpie się, płynąc tak ustawicznie do serca, i w jaki sposób tętnice nie są nią przepelnione, skoro wszystka ta, która przechodzi przez serce, bieży do nich, nie potrzebując odpowiedzieć nic innego, jak tylko to, co już opisał pewien lekarz w Anglii, któremu trzeba oddać pochwałę, iż przełamał lody co do tego punktu<sup>21</sup>. On pierwszy pouczył, iż istnieją liczne małe kanaliki na końcu tętnic, przez które krew, jaką tętnice otrzymują z serca, przechodzi do małych gałązek żył, którymi znowuż udaje się do serca; tak iż bieg jej jest nie czym innym, jak tylko ustawicznym krążeniem. Dowodzi tego bardzo trafnie za pomocą zwyczajnego doświadczenia chirurgów, którzy, przewiązawszy średnio silnie ramię ponad miejscem, w którym otwierają żyłę, sprawiają, iż krew wypływa bardziej obficie, niż gdyby nie podwiązano ramienia; byłoby zaś przeciwnie, gdyby podwiązali poniżej, pomiędzy ręką a otworem, albo też gdyby podwiązali bardzo mocno powyżej: jasnym jest bowiem, iż węzeł średnio ściśnięty, nie pozwalając, aby krew, która już jest w ramieniu, wróciła żyłami do serca, nie przeszkadza jednak, aby dopływała wciąż nowa tętnicami, z tej przyczyny, iż są one położone głębiej niż żyły, i że ich ściany, jako twardsze, mniej łatwo dadzą się ucisnąć, jak również, iż krew, która płynie z serca, z większą siłą dąży, aby dostać się ku ręce, aniżeli powraca stamtąd ku sercu przez żyły; a ponieważ ta krew wypływa z ramienia przez otwór mieszczący się w jednej z żył, muszą być konieczne jakieś przejścia poniżej węzła, to znaczy ku kończynie ramienia, którymi może ona przyplýwać z tętnic. Dowodzi również bardzo dobrze tego, co powiada o krążeniu krwi, za pomocą pewnych małych błonek, które są tak ustawione w różnych miejscach wzdłuż biegu żył, iż nie pozwalają krwi wracać od środka ciała ku kończynom, ale tylko biegnąć od kończyn ku sercu. Co więcej, wykazuje doświadczeniem, że wszystka krew, jaka jest w ciele, może zeń wyjść w bardzo krótkim czasie przez jedną tętnicę, skoro ta jest przecięta, nawet gdyby była ciasno podwiązana, bardzo blisko serca i przecięta między nim a podwiązką, tak iż nie ma żadnej możliwości przypuszczać, iżby krew wypływająca miała pochodzić skądinąd.

Wiele jeszcze istnieje innych rzeczy, które świadczą, że prawdziwa przyczyna tego ruchu krwi jest taka, jak mówię: po pierwsze, różnica, jaką widzi się pomiędzy krwią wypływającą z żył, a tą która wychodzi z tętnic, może pochodzić tylko stąd, iż, rozrzedziwszy się i niejako przedestylowawszy przechodząc przez serce, jest bardziej subtelna i żywa, i bardziej ciepła bezpośrednio po wyjściu z niego, to znaczy będąc w tętnicach, niż nieco wprzódy, zanim wpłynie do serca, to znaczy będąc w żyłach. Dobrze zważywszy, spostrzeżemy, iż ta różnica objawia się wyraźnie jedynie w pobliżu serca, nie tak zaś w miejscach najbardziej od niego oddalonych. Następnie, twardość błon, z jakich żyła tętnicza i wielka tętnica są utkane, okazuje dostatecznie, iż krew uderza o nie z większą siłą niż o żyły. A dlaczego lewa komora serca i wielka tętnica byłyby bardziej pojemne i szerokie niż prawa komora i żyła tętnicza, gdyby nie to, iż krew tętnicy żyłnej, bywszy jedynie w płucach od czasu, jak przeszła przez serce, bardziej jest lotna i rozrzedza się silniej i łatwiej, niż ta, która pochodzi bezpośrednio z żyły czczej? I co mogą odgadnąć lekarze macając puls, jeżeli nie wiedzą, że wedle tego, jak krew odmienna naturę, może pod wpływem ciepła zawartego w sercu rozrzedzić się mniej lub więcej i mniej lub więcej szybko niż wprzódy? A jeśli się zważy, w jaki sposób to ciepło udziela się innym członkom, czyż nie trzeba przyznać, iż dzieje się to za pomocą krwi, która, przechodząc przez serce, ogrzewa się w nim i rozlewa stamtąd po całem ciele? Stąd pochodzi, że jeśli się odciągnie krew z jakiejś okolicy, odejmuje się jej równocześnie ciepło; i, gdyby nawet serce było równie gorące jak rozżarzone żelazo, nie wystarczyłoby, aby ogrzać nogi i ręce (jak czyni), gdyby nie zasilalo ich ustawicznie nową krwią. Stąd też poznaje się, iż prawdziwym pożytkiem oddychania jest dostarczać obficie świeżego powietrza do płuc, iżby krew, która przyplýwa z prawej komory serca, gdzie uległa rozrzedzeniu i jakby przemianie w parę, zagęściła się i znowuż zamieniła w krew, zanim powróci do komórki lewej: bez czego nie mogłaby służyć na pożywienie dla ognia, który tam jest. Ku potwierdzeniu tego, widzimy również, że zwierzęta, które nie mają płuc, mają w sercu tylko jedną

<sup>21</sup>co już opisał pewien lekarz w Anglii, któremu trzeba oddać pochwałę, iż przełamał lody co do tego punktu — Harvey, *De motu cordis et sanguinis in animalibus* (1628). [przypis tłumacza]

komorę, i że dzieci, które, dopóki są zamknięte w żywocie matki, nie mogą posługiwać się płucami, mają otwór, przez który płynie krew z żyły czczej do lewej komory serca, i przewod, którym przyplywa ona z żyły tętniczej do wielkiej tętnicy, nie przechodząc przez płuco. A trawienie, jakoż odbywałoby się w żołądku, gdyby serce nie posyłało przez tętnice ciepła, a wraz z nim pewnych najbardziej płynnych części krwi, które pomagają rozpuścić potrawy, jakie przyjmujemy? A czynność, która zamienia miazgę tych potraw na krew, czyż nie jest łatwa do zrozumienia, jeśli zważymy, iż sok ten destyluje się, przechodząc w kółko przez serce więcej może niż sto i dwieście razy w każdym dniu? I na cóż szukać innych spraw, aby wytłumaczyć odżywienie i wytworzenie rozmaitych wilgotności zawartych w ciele, skoro tłumaczą się tym, iż siła, z jaką krew, rozrzedzając się, przechodzi od serca ku kończyom tętnic, sprawia, iż niektóre z jej części zatrzymują się między cząstkami tkanek, w których się znajdują, i zajmują tam miejsce innych, które wypierają z pozycji, i że wedle położenia lub kształtu, lub szczupłości porów, jakie napotyka, jedne udają się do jednych miejsc raczej niż do innych, tak samo jak każdy mógł oglądać rozmaite sita, które, będąc rozmaicie podziurkowane, służą do oddzielania rozmaitych ziarn od siebie? A wreszcie, co jest najbardziej godne uwagi w tym wszystkim, to powstawanie niejakich *duchów żywotnych*, które są niby wiatr bardzo subtelny lub raczej jak płomień bardzo czysty i bardzo żywy: ten, wstępując ustawicznie w wielkiej obfitości od serca do mózgu, rozchodzi się stamtąd nerwami do mięśni i daje ruch wszystkim członkom. Tłumaczy się zaś to dostatecznie tym, iż cząstki krwi, które, będąc najbardziej ruchome i wnikliwe, najsposobniejsze są do tworzenia tych duchów, udają się raczej do mózgu niż indziej, jako iż tętnice, które tam prowadzą, idą z serca w linii najprostszej ze wszystkich, i że, wedle praw mechaniki, które są tożsame z prawami natury, kiedy większa ilość ciał zmierza razem, poruszając się w tę samą stronę, gdzie nie ma dość miejsca dla wszystkich (tak właśnie, jak części krwi dążące z lewej komory serca do mózgu) najsłabsze i najmniej ruchliwe muszą ustąpić w tej drodze silniejszym, które, tym sposobem, dostają się tam same.

Wytłumaczyłem dość szczegółowo wszystkie te rzeczy w traktacie, który wprzód miałem zamiar ogłosić. Wykazałem dalej, jaki musi być mechanizm nerwów i mięśni ciała ludzkiego, aby sprawić, iż zawarte w nich duchy żywotne mają siłę poruszać jego członki, jako widzimy, iż głowa, w chwilę jeszcze po ucięciu, porusza się i kąsa ziemię, mimo iż nie posiada już życia. Dalej, jakie zmiany muszą zachodzić w mózgu, aby powodować czuwanie i sen, i senne marzenia; w jaki sposób światło, dźwięki, zapachy, smaki, ciepło, i wszystkie inne własności zewnętrznych przedmiotów mogą wywoływać w nim rozmaite pojęcia za pośrednictwem zmysłów; w jaki sposób głód, pragnienie, i inne uczucia wewnętrzne mogą również przesyłać tam swoje wrażenia. Wrażenia te przyjmuje nasz pospolity rozum, częścią dla pamięci, która je przechowuje, częścią dla wyobraźni, która może je rozmaicie odmieniać i tworzyć nowe; a zarazem, wysyłając duchy żywotne do mięśni, może poruszać członki ciała w mnóstwo rozmaitych sposobów i sprawiać, iż zarówno z przyczyny przedmiotów, jakie się nastęrczają zmysłom, jak namiętności wewnętrznych, które się w nim mieszczą, członki te mogą się poruszać bez udziału naszej woli. Nie wyda się zgoła dziwnym, skoro zechcemy pamiętać, ile rozmaitych *automatów*, czyli poruszających się maszyn, przemysłność ludzka umie wykonać, używając jeno niewielu składników, w porównaniu do wielkiej ilości kości, mięśni, nerwów, tętnic, żył i wszystkich innych części, jakie są w ciele każdego zwierzęcia. Trzeba nam uważać to ciało jako maszynę, która, jako uczyniona rękami Boga, jest bez porównania lepiej obmyślona i zawiera w sobie ruchy bardziej godne podziwienia, niż jakkolwiek przyrząd stworzony przez człowieka. Zatrzymałem się umyślnie przy tym punkcie dla wykazania, że, gdyby istniały takie maszyny, które by miały narządy i zewnętrzną postać małpy lub innego jakiego bezrozumnego zwierzęcia, nie mielibyśmy żadnego sposobu poznania, że nie są one we wszystkim tej samej przyrody, co owe zwierzęta; podczas gdy, gdyby istniała maszyna, która by miała podobieństwo do naszego ciała, i naśladowała nasze uczynki tak doskonale, jak tylko może, mielibyśmy zawsze dwa bardzo pewne sposoby rozpoznania, że mimo to nie jest ona prawdziwym człowiekiem. Pierwszy ten, iż nigdy nie mogłyby używać słów ani innych znaków, składając je w ten sposób, jak my czynimy dla udzielenia innym naszych myśli. Można wprawdzie pojąć, iżby maszyna mogła wymawiać jakieś słowa, a nawet wymawiać je pod wpływem działań fizycznych, powodujących

Maszyna, Robot, Ciało

Zwierzęta

Język

niejakie zmiany w jej narządach; na przykład, kiedy się ją dotknie w jakimś miejscu, aby się spytała czego się od niej życzy; w innym, aby krzyczała, że ją boli, i tym podobne; ale niemożliwe jest, aby składała rozmaicie słowa, odpowiadające sensowi wszystkiego, co się powie w jej obecności, jak to ludzie bodaj najtępsi zdołają czynić. Drugi sposób odróżnienia jest ten: choćby nawet machina taka czyniła wiele rzeczy równie dobrze lub może lepiej niż którykolwiek z nas, chybiałyby niezawodnie w wielu innych, przez co by wyszło na jaw, iż nie działa mocą świadomości, lecz jedynie przez rozmieszczenie swoich składowych części. Rozum jest to narząd powszechny, który może służyć we wszelkiego rodzaju okolicznościach, te zaś organy potrzebują jakowegoś osobnego nastawienia dla każdej oddzielnej czynności; skąd pochodzi, iż moralnym niepodobieństwem jest, aby liczba ich i różnorodność mogła w maszynie nastarczyć na wszystkie okoliczności życia w taki sam sposób, w jaki rozum pozwala nam działać.

Owóż, za pomocą tych samych dwu środków można również osądzić różnicę, jaka jest między ludźmi a zwierzętami. Jest to rzecz nader godna uwagi, że nie ma ludzi tak tępych i głupich, nie wyjmując nawet szaleńców, iżby nie byli zdolni zebrać do kupy rozmaitych słów i ułożyć z nich zdania, którym zdołają wyrazić swą myśl; przeciwnie zaś, nie ma innego zwierzęcia, choćby było najdoskonalsze i najbogaciej obdarzone, aby dokazało tegoż samego. A nie dzieje się to dlatego, iżby im nie stało organów. Widzimy, iż sroki i papugi mogą wymawiać słowa tak jak i my, a wszelako nie mogą mówić jak my, to znaczy objawiając, iż myślą to, co mówią. Przeciwnie, ludzie, którzy, będąc z urodzenia głusi i niemi, pozbawieni są, tyleż albo więcej co bydłęta, organów służących innym do mówienia, zwyczajni są wymyślać sami z siebie jakieś znaki, i za pomocą nich porozumiewają się z osobami, które przebywając zwyczajnie w ich towarzystwie, mają możliwość wyuczenia się tego języka. To świadczy nie tylko, iż zwierzęta mają mniej rozumu niż ludzie, ale że nie mają go wcale, widzimy bowiem, iż potrzeba go bardzo mało, aby umieć mówić. Co więcej, między zwierzętami jednego gatunku widzi się nierówność, równie dobrze co między ludźmi; jedne łatwiejsze są do wytresowania niż inne; otóż, nie do wiary jest, aby małpa lub papuga, która by była najdoskonalszą w swoim gatunku, nie dorównała w tym najtępszemu dziecku, lub bodaj dziecku mającemu mózg zmaczony, gdyby nie to, iż dusza ich jest przyrody zgoła innej niż nasza. A nie należy mieszać mowy z naturalnymi poruszeniami, które wyrażają namiętności i które machina może naśladować zarówno dobrze jak zwierzę; ani też myśleć, jak niektórzy starożytni, iż zwierzęta mówią, tylko my nie rozumiemy ich mowy. Gdyby to było prawdą, skoro mają wiele organów, które pokrewne są naszym, mogłyby równie dobrze dać się zrozumieć nam, jak swoim bliźnim. Rzeczą również bardzo godną uwagi jest to, że mimo iż wiele zwierząt objawia większą od nas przemyślność w niektórych czynkach, widzimy, iż te same nie objawiają jej wcale w wielu innych sprawach. To zatem, co robią lepiej od nas, nie dowodzi, że mają rozum, w ten sposób bowiem miałyby go więcej niż którykolwiek z nas i poczynalyby sobie lepiej w każdej innej rzeczy; ale raczej, że go nie mają i że to natura w nich działa wedle ukształtowania ich organów. Podobnie widzimy, iż zegar, który składa się tylko z kółek i sprężyn, może liczyć godziny i mierzyć czas bardziej trafnie, niż my z całą naszą roztropnością.

Opisałem następnie duszę obdarzoną rozumem, i ukazałem, że nie może ona w żaden sposób wyłonić się z sił materii (jak inne rzeczy, o których mówiłem), ale że musiała umyślnie być stworzona. Pokazałem, jako nie wystarcza, aby ta dusza mieszkała w ciele ludzkim niby pilot w okręcie, chyba tylko po to, aby poruszać jego członki; ale trzeba, aby była z nim ściśle złączona i zespolona, iżby mogła mieć, ponadto, uczucia i pragnienia podobne naszym i w ten sposób tworzyć prawdziwego człowieka. W tym miejscu, rozwiódłem się nieco nad przedmiotem duszy, ile że to jest jeden z najważniejszych. Po błędzie tych, którzy przeczą istnieniu Boga (który to błąd, jak sądzę, dostatecznie odparłem powyżej), nie masz omyłki, która by bardziej oddalała słabe umysły z prostej drogi cnoty, jak pojęcie, że dusza zwierząt jest tej samej natury co nasza, i że, tym samym, nie mamy niczego obawiać się ani spodziewać po śmierci, nie więcej niż muchy i mrówki. Wiedząc natomiast, jak bardzo się one od nas różnią, rozumiemy o wiele lepiej racje, które dowodzą, że dusza nasza jest natury zupełnie niezależnej od ciała, a tym samym nie podlega wraz z nim śmierci; za czym, ponieważ nie widzimy innych przyczyn które by

Zwierzę, Maszyna

ją mogły zniszczyć, musimy, w naturalnym sposobie, skłaniać się do mniemania, że jest nieśmiertelna.

## CZEŚĆ SZÓSTA

Owóż, jest już trzy lata, jak doszedłem do końca traktatu zawierającego wszystkie te rzeczy i zacząłem przeglądać go, aby go oddać w ręce drukarza, kiedy dowiedziałem się, że osoby, które czczą i których powaga nie mniejszy ma wpływ na moje uczynki, niż własny rozum na moje myśli, potępiły mniemania fizyczne, ogłoszone nieco wcześniej przez kogoś innego<sup>22</sup>. Nie chcę powiedzieć, abym podzielał te mniemania; nie zauważyłem w nich wszelako, przed tą cenzurą, nic, co bym mógł uważać za szkodliwe dla religii i państwa, ani też, tym samym, co by mi przeszkodziło ogłosić je, gdyby rozum był mnie do nich doprowadził. To obudziło we mnie obawę, iżby i między moimi naukami nie znalazło się coś, w czym popadłem w błąd, mimo wielkiej troskliwości, z jaką zawsze strzegę się przyjmować do mojej wiary rzeczy nowych, których bym nie miał bardzo pewnych dowodów, i nie pisać nic takiego, co by się mogło obrócić na czyją szkodę. To wystarczyło, aby mnie odwrócić od zamiaru ogłoszenia tych mniemań; mimo bowiem iż racje, dla których powziąłem wprzódy ten zamiar, były bardzo mocne, usposobienie moje, które zawsze odstręczało mnie od rzemiosła układacza książek, nastęrczyło mi natychmiast wiele innych na poparcie przeciwnego postanowienia. A racje te, z jednej i z drugiej strony, są takie, iż nie tylko ja, ale i publiczność ma w tym niejaki interes, abym je tu powiedział.

Nigdy nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do rzeczy wychodzących z mojego ducha. Dopóki z metody, jaką się posługuję, nie zebrałem innych owoców, prócz tych, że zadowolilem się odnośnie do kilku trudności dotyczących nauk spekulatywnych i że starałem się miarkować moje obyczaje wedle prawideł, jakie mi wskazała, nie czułem się obowiązany cokolwiek o tym pisać. Co się tyczy bowiem obyczajów, każdy tak obficie ma o tym własnych pojęć, iż mogłoby się snadnie znaleźć tylu reformatorów, ile głów, gdyby to zadanie było dozwolone komu innemu, niż tym, których Bóg ustanowił za naczelników nad ludem lub też którym udzielił dość łaski i zapału, aby byli prorokami. Mimo iż moje wymysły podobały mi się bardzo, sądziłem, że inni mają swoje, które im się podobają może jeszcze więcej. Ale, skoro nabyłem nieco ogólnych wiadomości dotyczących fizyki i skoro, zaczynając doświadczać ich w rozmaitych poszczególnych trudnościach, zauważyłem dokąd mogą one doprowadzić, i jak bardzo różnią się od zasad, którymi aż dotąd się posługiwano, sądziłem, iż nie godzi mi się trzymać ich w ukryciu, nie grzesząc ciężko przeciw prawu, które nam nakazuje przyczyniać się, ile w naszej mocy, do powszechnego dobra. Prawidła te ukazały mi, iż możebne jest dojść do wiadomości wielce użytecznych dla naszego życia; i że, zamiast tej filozofii spekulatywnej, której uczą w szkołach, można znaleźć inną, praktyczną, za pomocą której, znając siłę i działanie ognia, wody, powietrza, gwiazd, nieba i wszystkich innych ciał, które nas otaczają, równie dokładnie, jak znamy rozmaite rękodzieła naszych rzemieślników, będziemy mogli użyć ich w ten sam sposób do wszystkich celów, do których się nadają, i dzięki temu stać się panami i posiadaczami natury. Co jest nie tylko pożądane dla wynalezienia nieskończonej ilości sztuk, które by sprawiły, iżby się zażywało bez żadnego trudu owoców ziemi i wszystkich dogodności na niej będących, ale głównie też dla zachowania zdrowia, które jest bez wątpienia pierwszym dobrem i podstawą wszystkich innych dóbr tego życia. Nawet bowiem duch zależy tak silnie od stanu i temperamentu narządów ciała, że jeśli możebne jest znaleźć jakiś sposób, który by uczynił pospólnie ludzi bardziej roztroprnymi i zmyślnymi niż dotąd, sądzę iż w medycynie to należy go szukać. Prawda, iż ta, która obecnie jest w użyciu, mało zawiera rzeczy, których pożytek byłby tak widoczny; ale (bez żadnego zamiaru z mej strony pogardzania nią) pewien jestem, iż nie ma nikogo, nawet z tych, którzy praktykują ją z rzemiosła, kto by nie przyznał, że wszystko, co z niej wiemy, jest prawie niczym w porównaniu do tego, co pozostaje do poznania; i że można by się uwolnić od niezliczonej mnogości chorób tak ciała, jak ducha, a nawet może od zwałenia starości, gdyby się miało dostateczną świadomość ich przyczyn, oraz wszystkich lekarstw, jakimi nas natura obdarzyła. Owóż, mając zamiar obrócić całe moje życie na szukanie tak użytecznej wiedzy

<sup>22</sup>osoby, które czczą (...) potępiły mniemania fizyczne, ogłoszone nieco wcześniej przez kogoś innego — *Dialogi Galileusza*. [przypis tłumacza]



i znalazłszy drogę, na której wydaje mi się, iż znajdzie się ją niechybnie, — chyba że na przeszkodzie stanie krótkość życia, albo niedostatek doświadczeń — osądziłem, iż nie ma lepszego lekarstwa przeciw tym dwom przeszkodom, jak udzielić wiernie powszechności tej trochy, którą znalazłem, i zaprosić wyborne umysły, aby starały się iść jeszcze dalej, przyczyniając się, każdy wedle swej skłonności i mocy, do doświadczeń, jakie należałoby uczynić, i udzielając też publiczności wszystkich rzeczy, jakie by poznali. W ten sposób, skoro ostatni z kolei będą zaczynać tam, gdzie poprzedni skończyli, wszyscy wraz, zespalając niejako żywoty i prace wielu, zajdziemy o wiele dalej, niżby to każdy pojedynczo zdołał uczynić.

Zauważyłem nawet, odnośnie do doświadczeń, iż są one tym bardziej potrzebne, im bardziej się jest posuniętym w wiedzy. Na początek lepiej jest posługiwać się tylko tymi, które same z siebie nastęrczają się naszym zmysłom, a których nie moglibyśmy zapoznać, bylebyśmy bodaj trochę się zastanowili, niż szukać bardziej rzadkich i uczonych. Racja tego jest ta, iż owe osobliwe myślą często, kiedy się nie zna jeszcze przyczyn co najpospolitszych, i że okoliczności, od których zależą, są zawsze prawie tak poszczególne i tak drobne, iż bardzo niełatwo jest je zauważyć. Porządek, jaki zachowałem, był taki: naj-samprzód starałem się znaleźć w ogólności zasady lub pierwsze przyczyny wszystkiego, co jest albo może być w świecie, nie biorąc pod rozwagę w tym celu nic, prócz samego Boga, który go stworzył, ani nie dobywając zasad tych skądinąd, jak z pewnych nasion prawdy, znajdujących się w naturalny sposób w naszej duszy. Następnie, rozważyłem, jakie są pierwsze i najpospolitsze skutki, jakie można wywieść z tych przyczyn; i zdaje mi się, że tą drogą znalazłem niebo, gwiazdy, ziemię, a nawet na ziemi wodę, powietrze, ogień, minerały i niektóre inne takie rzeczy, które są ze wszystkich najpospolitsze i najprostsze, a tym samym najłatwiejsze do poznania. Następnie, skoro chciałem zstąpić do przedmiotów bardziej osobliwych, nastęrczyło się mi tyle rozmaitych, że nie sądziłem, aby było możebne umysłowi ludzkiemu rozróżnić kształty lub gatunki ciał, jakie są na ziemi, od nieskończoności innych, jakie mogłyby na niej być, gdyby było wolą Boga je tam pomieścić, ani, tym samym, ściągnąć je do naszego użytku, inaczej, niż wychodząc naprzeciw przyczyn za pomocą skutków, i posługując się niektórymi poszczególnymi doświadczeniami. W następstwie czego, przechodząc umysłem wszystkie przedmioty, które kiedykolwiek nastęrczały się moim zmysłom, śmiem powiedzieć, iż nie zauważyłem wśród nich żadnej rzeczy, której bym nie mógł dość łatwo wytłumaczyć za pomocą moich zasad. Ale muszę również wyznać, iż potęga natury jest tak obszerna i rozległa, te zaś zasady są tak proste i ogólne, iż nie widzę żadnego poszczególnego zjawiska, o którym bym wraz nie wiedział, że może być z nich wywiedzione na kilka rozmaitych sposobów i że największą trudność sprawia mi zazwyczaj znaleźć, na który ze sposobów ono z nich wypływa. Na to nie znam innego środka, jak znowuż szukać jakichś doświadczeń, których wynik zmieniałby się zależnie od przyjętego sposobu wytłumaczenia. I doszedłem do tego, iż widzę, o ile mi się zdaje, dosyć dobrze, jakiej sztuki trzeba zażyć, aby dokonać większości doświadczeń potrzebnych w tym celu: ale widzę także, iż są one takie, i w tak wielkiej liczbie, iż ani moje ręce, ani moje dochody, choćby nawet były tysiąc razy większe, nie zdołałyby im wystarczyć. Wedle tego też, czy będę miał na przyszłość możliwość dokonania ich więcej lub mniej, posunę też mniej albo więcej znajomość przyrody. Obiecywałem sobie dać to poznać za pomocą traktatu, jaki napisałem, i wykazać tak jasno pożytek, jaki ogół może stąd odnieść, iż zobowiązałbym wszystkich tych, którzy pragną powszechnego dobra ludzi, to znaczy wszystkich cnotliwych naprawdę, a nie jedynie przez udany pozor albo dla oczu świata, iżby mi udzielili doświadczeń, jakie już dokonali, jak również dopomogli w przeprowadzeniu tych, jakie pozostają do uczynienia.

Ale, od tego czasu, nastęrczyły mi się inne racje, które kazały mi zmienić mniemanie. Osądziłem, że powinienem w istocie w dalszym ciągu spisywać wszystkie rzeczy, które, wedle mego uznania, posiadają pewną wagę, w miarę jak odkryję ich prawdziwość, i że należy mi dokonać tego z taką samą starannością, co gdybym je chciał drukować; tak dlatego, aby mieć tym więcej sposobności dobrego rozpatrzenia ich — jako bez wątplenia bardziej z bliska przygląda się człowiek temu, co ma zamiar ukazać drugim, niż temu, co się robi jeno dla samego siebie, i często rzeczy, które zdały mi się prawdziwe wówczas, kiedy zacząłem je rozważać, wydały mi się fałszywe, kiedy próbowałem przenieść je na papier — jak aby nie stracić żadnej sposobności przyniesienia korzyści ogółowi,

jeśli zdolny jestem do tego. Chciałem, jeśli me pisma mają jaką wartość, aby ci, którzy dostaną je do rąk po mej śmierci, mogli użyć je wedle tego, jak im się wyda najwłaściwsze. Uznałem jednak, iż nie powinienem zgodzić na ogłoszenie ich za mego życia, a to iżby ani spory i sprzeciwy, do których by dały może powód, ani nawet reputacja, jaką by mi mogły zdobyć, nie dały mi żadnej sposobności stracenia czasu, który mam zamiar obrócić na szukanie wiedzy. Mimo bowiem iż niewątpliwie każdy człowiek zobowiązany jest przyczyniać się ile w jego mocy do dobra drugich i, zaiste, nic nie jest wart ten, kto nikomu nie jest użytecznym, prawdą jest również wszelako, iż nasze starania powinny się rozciągać na dłużej niż na czas obecny. Dobrze jest poniechać rzeczy, które by przyniosły może jakąś korzyść żyjącym, skoro dzieje się to w zamiarze dokonania innych dzieł, które przyniosą więcej korzyści naszym wnukom. Pragnę, aby wiadano, że to trochę rzeczy, które poznałem aż dotąd, jest prawie niczym w porównaniu do tych, których nie wiem, ale które mam nadzieję poznać. Z ludźmi, którzy odkrywają pomału prawdę w naukach, jest tak samo, jak z tymi, którzy, zebrawszy już spory majątek, mniej doznają trudu w czynieniu wielkich nabytków, niż poprzednio, będąc biedniejsi, spotykali w małych. Lub też, można ich porównać do wodzów armii, których siły zwykły rosnąć w miarę zwycięstw, i którzy więcej potrzebują wysiłku, aby się utrzymać po przegranej bitwie, niż aby po wygranej zdobywać nowe miasta i prowincje. Jest to bowiem w istocie jakoby staczanie bitew, silić się przewyciężyć wszystkie trudności i omyłki, które nie pozwalają nam dojść do poznania prawdy; zaś przegraniem bitwy jest powziąć fałszywe mniemanie odnośnie do jakiejś materii cale ogólnej i ważnej; trzeba, później, wiele więcej zręczności, aby wrócić do stanu, w jakim się było wprzód, niż było trzeba do czynienia wielkich postępów, kiedy się ma już zasady dobrze upewnione. Co do mnie, jeśli wprzód znalazłem jakoweś prawdy w naukach (a mam nadzieję, iż rzeczy zawarte w tym tomie pozwolą osądzić, iż znalazłem ich nieco<sup>23</sup>), mogę powiedzieć, iż są one jeno następstwem kilku głównych trudności, jakie przewyciężyłem i które liczę za tyleż bitew, w których szczęście było po mojej stronie. A nawet, nie zawaham się powiedzieć, iż, jak mniemam, potrzeba mi nie więcej, jak tylko wygrać dwie lub trzy podobne, aby całkowicie uporać się z moim zamiarem; i że wiek mój nie jest tak posunięty, abym, wedle naturalnego biegu przyrody, nie mógł rozporządzać dostateczną ilością lat do tego celu. Ale sądzę, iż o tyleż więcej należy mi oszczędzać czasu, jaki mi zostaje, im więcej mam nadziei, że zdołam go dobrze użyć; miałbym zaś z pewnością wiele sposobności stracenia go, gdybym ogłosił fundamenty mojej fizyki. Mimo bowiem iż prawie wszystkie są tak oczywiste, że wystarczy jeno posłyszeć je, aby w nie uwierzyć, i że nie ma wśród nich żadnego, na który bym nie mógł dać dowodów, wszelako, z tej przyczyny iż niepodobna jest, aby były zgodne ze wszystkimi rozmaitymi mniemaniami innych ludzi, przewiduję, iż byłbym narażony na wiele rozproszeń przez rozmaite sprzeciwy, które by wywołały.

Można powiedzieć, iż te sprzeciwy byłyby użyteczne, tak przez to, iżby mi ujawniły moje błędy, jak też, iż gdybym objawił coś dobrego, inni, za pomocą tego sposobu, łatwiej by to poznali, oraz — jako że wielu może więcej widzieć niż jeden — zaczynając od razu posługiwać się moimi zasadami, dopomogliby mi swoimi wymysłami. Uznaję, że niezmiernie łatwo mogę się mylić, i nie dowierzam prawie nigdy pierwszym myślom jakie mi przychodzą; doświadczenie wszelako, jakie mam co do zarzutów, które może mi ktoś czynić, nie pozwala mi spodziewać się z nich żadnego pożytku. Doświadczyłem już często sądów zarówno przyjaciół, jak i ludzi obojętnych, a nawet niektórych takich, o których wiedziałem, że przez złośliwość i zawiść staraliby się dość pilnie odkryć to, co życliwość zasłaniałaby moim przyjaciołom. Ale rzadko zdarzyło się, aby mi zarzucono jakąś rzecz, której bym zgola nie był przewidział, chyba iż była bardzo odległa od mego przedmiotu: tak iż nigdy niemal nie spotkałem żadnego cenzora moich opinii, który by mi się nie wydał albo mniej surowy, albo mniej sprawiedliwy niż ja sam. I nie zauważyłem również, aby za pomocą dysput, tak jak praktykuje się je w szkołach, odkryto jakąś prawdę, której by wprzód nie znano; podczas bowiem gdy każdy stara się zwyciężyć, przeciwnicy silą się o wiele więcej w tym, aby uwydatnić prawdopodobieństwo swojej tezy, niż aby zważyć

Konflikt, Sędzia, Nauka

<sup>23</sup>jeśli wprzód znalazłem jakoweś prawdy w naukach, a mam nadzieję, iż rzeczy zawarte w tym tomie pozwolą osądzić, iż znalazłem ich nieco — Descartes ma na myśli *Dioptrykę*, *Traktat o meteorach* i *Geometrię*, które ukazały się w jednym tomie wspólnie z *Rozprawą o metodzie*. [przypis tłumacza]

racje jednej i drugiej strony. To, iż ktoś był długo dobrym adwokatem, nie czyni go w mych oczach później lepszym sędzią.

Co do pożytku, jaki inni znaleźliby w poznaniu moich myśli, nie mógłby on również być bardzo znaczny. Nie doprowadziłem ich jeszcze tak daleko, aby, zanim się je zastosuje w praktyce, nie było potrzeba dorzucić do nich wiele rzeczy. I myślę, że mogę powiedzieć bez próżności, że jeśli jest ktoś zdolny tego dokonać, to byłbym nim raczej ja, niż kto inny. Nie iżby nie mogło być na świecie wiele umysłów nieporównanie cięższych od mojego, ale że niepodobna jest tak dobrze pojąć jakąś rzecz i przyswoić ją sobie, kiedy się ją poznało od kogoś drugiego, niż kiedy się ją wynalazło samemu. Jest to, w tej materii, tak prawdziwe, iż, mimo że nieraz tłumaczyłem moje mniemania osobom bardzo bystrego umysłu, i które, podczas gdy mówiłem do nich, zdawały się rozumieć je bardzo wyraźnie, wszelako, kiedy powtarzały moje myśli, zauważyłem, iż prawie zawsze przekształciły je w taki sposób, iż nie mogłem ich już uznać za swoje. Przy tej sposobności, bardzo rad jestem prosić tu naszych wnuków, aby nie wierzyli nigdy w rzeczy, o których im powiedzą, że pochodzą ode mnie, o ile ja ich sam nie podałem do wiadomości. Nie dziwię się zgoła niedorzecznościom, jakie przypisuje się wszystkim owym dawnym filozofom, których pism nie posiadamy, ani też nie sądzę z tego, iżby ich myśli były w istocie bardzo niedorzeczne (zważywszy iż były to najcięższe duchy swoich czasów), ale tylko, iż źle nam je powtórzono. Jako widzimy też, iż prawie nigdy się nie zdarzyło, aby który z ich wyznawców przewyższył ich samych; i pewien jestem, iż najzagorzalsi z tych, którzy idą teraz za Arystotelesem, uważaliby się za szczęśliwych, gdyby mieli tyle znajomości natury, ile on miał, nawet pod warunkiem, że nigdy nie będą mieli więcej. Są oni jak bluszcz, który nie sili się pięć wyżej niż drzewo, które go podtrzymuje, a nawet często zstępuje z powrotem, skoro doszedł aż do szczytu. Zdaje mi się bowiem tak samo, iż raczej schodzą na dół, to znaczy stają się poniekąd mniej uczonymi, niż gdyby się wstrzymali od studiów, tacy ludzie, którzy, niezadowoleni poznaniem wszystkiego, co jest rozumnie wytłumaczone w ich autorze, chcą prócz tego znaleźć w nim rozwiązanie wielu trudności, o których on nie mówi nic i o których może nigdy nie myślał. Jest to sposób filozofowania nader wygodny dla tych, którzy mają umysły bardzo mierne; ciemność bowiem rozróżnień i zasad, jakimi się posługują, jest przyczyną, iż mogą mówić o wszystkich rzeczach równie śmiało, co gdyby je wiedzieli, i podtrzymywać wszystko to, co mówią przeciw najbardziej bystrym i zdatnym, bez możliwości, iżby ich samych można było przekonać. Zdają mi się podobni do ślepego, który, aby potykać<sup>24</sup> się skutecznie z kimś kto widzi, ściągnąłby go do głębi piwnicy bardzo ciemnej. Mogę powiedzieć, że ci mają interes w tym, abym się powstrzymał od ogłoszenia zasad filozofii, którą się posługuję. Ponieważ zasady te są bardzo proste i oczywiste, ogłaszając je, uczyniłbym poniekąd toż samo, co gdybym otworzył okno i wpuścił światło do tej piwnicy, do której zeszedli, aby się potykać. Ale nawet i lepsze umysły nie mają przyczyny pragnąć poznania ich; jeśli bowiem chcą umieć gadać o wszelkiej rzeczy i nabyć reputacji uczonych, łatwiej to osiągną zadowolając się prawdopodobieństwem, które można znaleźć we wszelkiej materii bez wielkiego trudu, niż szukając prawdy, która odsłania się jeno pomału w niektórych rzeczach, i która, kiedy przychodzi rozprawić o innych, zmusza do szczerego wyznania, że się ich nie wie. Jeżeli wolą świadomość części prawdy od próżności uchodzenia za takich, co wiedzą wszystko (jako bez wątpienia pierwsze jest o wiele wyższe), i jeżeli chcą iść za zamiarem podobnym mojemu, starczy im zupełnie to, co już powiedziałem w tej rozprawie; jeśli bowiem zdolni są zajść dalej, niż ja zaszedłem, z tym większą racją będą zdolni znaleźć sami wszystko to, co ja sądzę, iż znalazłem. Ponieważ zawsze rozpatrywałem rzeczy tylko

Filozof, Głupota, Mądrość

Praca

<sup>24</sup>potykać się (daw.) — walczyć. [przypis edytorski]

przyzwyczajenia i łatwości, jakie, o ile mi się zdaje, posiadam w tym, aby znajdować wciąż nowe, w miarę jak przykładam się do ich szukania, jednym słowem, jeżeli istnieje na świecie jakie dzieło, którego nie może nikt inny równie dobrze dokończyć jak ten, który je rozpoczął, to to, nad którym ja pracuję.

Prawda, iż, co się tyczy doświadczeń, jakie są tu potrzebne, sam jeden człowiek nie mógłby nastarczyć, aby je wszystkie wykonać: ale nie mógłby też z pożytkiem użyć tu innych rąk jak własne, chyba tylko rękodzielników lub takich ludzi, których mógłby opłacić i którym nadzieja zysku (środek wielce skuteczny) kazałaby dokładnie wypełnić wszelkie rzeczy, jakie by im przepisał. Co do ochotników, którzy, przez ciekawość lub pragnienie pouczenia się, ofiarowaliby się może z pomocą, to, poza tym iż zazwyczaj mocniejsi są w obietnicach niż w działaniu, i że czynią jedynie piękne zapowiedzi, z których żadna się nie sprawdza, chcieliby niechybnie, abym ich opłacał za pomocą wytłumaczenia pewnych trudności lub co najmniej przez pochlebstwa i bezużyteczne rozmowy, które by nie obyły się bez straty czasu większej od owej korzyści. Zaś, co do doświadczeń, których inni już dokonali, gdyby nawet chcieli mi ich udzielić (czego ci, którzy nazywają je *sekretami*, nie uczyniliby nigdy), są one przeważnie obciążone tyloma okolicznościami lub ingrediencjami zgoła zbyt ciężkimi, iż nie lada byłoby trudnością odszukać w nich prawdę. W dodatku, wszystkie byłyby tak źle wytłumaczone lub nawet tak fałszywe, z tej przyczyny, iż ci, którzy je czynili, silili się naciągając je do swoich zasad, że gdyby nawet niektóre z nich zdały się na co, nie zdołałyby jednak opłacić czasu, jaki trzeba by zużyć na ich przebieranie.

Tak, iż gdyby był na świecie ktoś, o kim by się wiedziało na pewno, iż jest zdolny znalezienia rzeczy bodaj największych i możliwie najbardziej użytecznych ogółowi, i gdyby dla tej przyczyny ludzie silili się wszelkimi środkami dopomóc mu do spełnienia zamiarów, nie widzę zbyt, aby mogli uczynić coś więcej, jak tylko przyczynić się do kosztów doświadczeń, jakie będą potrzebne, a poza tym czuwać, aby niczyje natręctwo nie mąciło spokoju badacza. Ale, poza tym iż nie rozumiem tak wiele o sobie, aby chcieć przyrzekać coś nadzwyczajnego, ani też nie karmię się myślami tak czczymi, aby wyobrażać sobie, że publiczność winna się bardzo zaprzętać mymi zamiarami, nie mam również duszy tak nikczemnej, abym chciał przyjmować od kogokolwiek w świecie jakąś łaskę, o której mógłby rozumieć, iż na nią nie zasłużyłem.

Wszystkie te rozważania połączone razem stały się, przed trzema laty, przyczyną, iż nie chciałem ogłosić traktatu, jaki miałem w rękach, a nawet powziąłem postanowienie nie ogłaszać za życia żadnego innego, tyczącego ogólnych zasad, z którego można by wyrozumieć fundamenta mojej fizyki. Ale zaszły później dwie inne racje, które skłoniły mnie, aby pomieścić tu kilka prób poszczególnych i aby zdać publiczności nieco sprawy z moich czynów i zamiarów. Pierwszą jest, iż gdybym tego zaniedbał, te osoby, które wiedziały, że miałem wprzód zamiar ogłosić drukiem niektóre pisma, mogłyby sobie wyobrazić, że przyczyny, dla których wstrzymuję się od tego, są bardziej na moją niekorzyść, niżeli są w istocie. Mimo iż nie miłuję nadmiernie sławy lub nawet, jeśli śmiem się tak wyrazić, nienawidzę jej o tyle, o ile uważam ją za zgubną dla spokoju, który cenię ponad wszystko, nigdy też wszelako nie sililem się ukrywać moich uczynków jak zbrodni, ani też nie używałem szczególnych ostrożności, aby pozostać nieznanym; tak z przyczyny iż mniemałbym, że chybiam samemu sobie, jak z przyczyny iż dałoby mi to rodzaj niepokoju, który by znowuż sprzeczny był doskonałemu spokojowi ducha, którego szukam. Skoro tedy, zajmując zawsze obojętne stanowisko pomiędzy rozgłosem a ukryciem, nie mogłem przeszkodzić, abym nie nabył pewnego rodzaju reputacji, myślałem, iż godzi mi się robić, co w mej mocy, dla zapobieżenia bodaj, aby nie była ona ujemna.

Drugą racją, która skłoniła mnie do napisania tej rozprawy, było to: widząc, jak z każdym dniem ulega opóźnieniu mój zamiar zdobycia wiedzy, a to z przyczyny nieskończonej mnogości doświadczeń, których mi potrzeba, a których niemożliwe mi jest dokonać bez obcej pomocy, mimo że nie pochlebiam sobie, by publiczność bardzo wielki udział brała w moich sprawach, wszelako nie chcę także chybić samemu sobie, ani też dać powód tym, którzy mnie przeżyją, aby mi mogli wyrzucać kiedyś, iż mogłem być zostawić wiele rzeczy znacznie lepszych niż zostawiłem, gdybym nie był zanadto zaniedbał pouczenia ich, w czym mogliby dopomóc do moich zamierzeń.

Pomyślałem też, że łatwo mi będzie wybrać niektóre przedmioty, które, nie podpadając zbyt sporom i zarzutom, ani też nie zmuszając mnie do wyjawienia moich zasad

Sława

więcej niżli pragnę, pozwoliłyby jednak ukazać dość jasno, co jestem zdolen<sup>25</sup> osiągnąć w naukach. Nie umiałbym rozstrzygnąć, czy mi się to powiodło; nie chcę też uprzedać niczyjego sądu, mówiąc sam o swoich pracach; ale będę bardzo rad, aby je zbadano. Aby dać po temu tym więcej sposobności, proszę wszystkich, którzy będą mieli do uczynienia jakiegoś zarzutu, aby byli tak łaskawi przesłać je memu księgarzowi, przez którego powiadomiony, będę się starał bezzwłocznie przesłać moją odpowiedź. W ten sposób, czytelnicy, widząc jedno i drugie, tym snadniej będą mogli osądzić o prawdzie. Nie przyrzekam zresztą dawać długich odpowiedzi, lecz tylko wyznać moje błędy bardzo szczerze, jeśli je uznam; lub też, jeśli nie zdołam się ich dopatrzeć, powiedzieć po prostu to, co będę uważał za wskazane dla obrony rzeczy, które napisałem, nie dołączając do wyjaśnienia żadnego nowego przedmiotu, aby nie płać się bez końca z jednego w drugi.

Jeżeli niektóre rzeczy z tych, o których mówiłem na początku *Dioptryki* i *Meteorów*, rażą zrazu, z przyczyny iż nazywam je przypuszczeniami i nie zdradzam ochoty udowodnienia ich, niechaj czytelnik ma cierpliwość przeczytać wszystko z uwagą, a mam nadzieję, iż zdołam go zadowolić. Zdaje mi się, iż raczej wywodzą się z siebie w taki sposób, iż ostatnie wiodą się z pierwszych jako ze swoich przyczyn, a pierwsze znów z ostatnich jako swoich skutków. I nie należy wyobrażać sobie, iż popełniam w tym omyłkę, którą logicy zowią *błędnym kołem*. Ponieważ bowiem doświadczenie stwierdza wiele z tych skutków z zupełną pewnością, przyczyny, z których je wywodzę, służą nie tyle, aby ich dowieść, co aby je wyjaśnić; przeciwnie raczej, one to czerpią w nich swój dowód. A nazwałem je przypuszczeniami jedynie dlatego, aby okazać, iż mniemam, że mogę je wywieść z tych pierwszych prawd, jakie powyżej wytłumaczyłem. Woląłem tego umyślnie nie uczynić, nie chcąc, aby pewne umysły, które wyobrażają sobie, iż poznają w jednym dniu to, co inny przemyślał w dwudziestu latach, skoro tylko powiedział im o tym dwa lub trzy słowa, i które, im bardziej są bystre i żywe, tym bardziej skłonne są do omyłek i tym mniej zdolne do prawdy, nie mogły stąd powziąć okazji budowania jakiej niedorzecznej filozofii na tym, co będą uważać za moje zasady, i aby mnie nie przypisywano za to winy. Co do mniemań, które są zupełnie moje własne, nie usprawiedliwiam ich jako nowych, ile że, jeśli kto zbada ich racje, pewien jestem, że zdadzą mu się tak proste i zgodne ze zdrowym rozumem, iż uzna je jako mniej nadzwyczajne i mniej dziwne, niż jakiegokolwiek inne które by można mieć w tych samych przedmiotach. Nie chlubię się też, iżbym był ich pierwszym wynalazcą, ale nie przyjąłem ich nigdy ani dlatego, iż powiedział je ktoś drugi albo iż nie powiedział, ale jedynie dlatego, że rozum mnie o nich przekonał.

A jeżeli rękodzielnicy nie będą mogli natychmiast wykonać pomysłu, który jest wytłumaczony w *Dioptryce*<sup>26</sup>, nie sądzę, iżby można powiedzieć przez to, iż pomysł jest zły; tyle bowiem trzeba zręczności i zwyczajenia, aby wykonać i narządzić instrumenty, które opisałem, tak by nie chybiła żadna okoliczność, iż nie mniej dziwiłbym się, gdyby się to powiodło od pierwszego razu, niż gdyby ktoś zdołał w jednym dniu nauczyć się wybornie grać na lutni, przez to samo, iż dałoby mu się wierną tabulaturę. A jeśli piszę po francusku, języku mego kraju, raczej niż po łacinie, języku moich nauczycieli, to dlatego, iż mam nadzieję, że ci, którzy posługują się swoim naturalnym i prostym rozumem, lepiej zdołają osądzić moje mniemanie, niż; ci, którzy wierzą jeno starożytnym księgom; co do tych zaś, którzy łączą zdrowy rozum z nauką (a tych jedynie życzę sobie za sędziów), nie będą oni, jestem pewny, tak uprzedzeni na korzyść łaciny, aby wzbranił się wyrozumieć moich racji dlatego, że je wyrażam w pospolitym języku.

Zresztą, nie chcę tu mówić szczegółowo o postępach, jakie mam nadzieję uczynić na przyszłość w naukach, ani też wiązać się wobec publiczności żadnym przyrzeczeniem, którego bym nie był pewien dopełnienia. Powiem jedynie, iż postanowiłem obracać czas, jaki mi pozostał do życia, wyłącznie na to, aby starać się nabyć jakowąś znajomość przyrody, taką aby można z niej było wyciągnąć dla sztuki lekarskiej prawidła bardziej pewne niż te, jakie posiadano dotąd. Skłonność moja odsuwa mnie tak bardzo od wszelakiego rodzaju innych zamiarów, tych zwłaszcza, które mogłyby być użyteczne jednym jedynie, szkodząc drugim, iż gdyby jakieś okoliczności zmusiły mnie chwycić się takich zatrudnień, nie sądzę, iżbym był zdolny uprawiać je z powodzeniem. Wiem dobrze (oświadczam to na tym

<sup>25</sup>zdolen (daw.) — zdolny; jestem zdolen: mogę, jestem w stanie. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>pomysł, który jest wytłumaczony w *Dioptryce* — wynalazek soczewki i teleskopu. [przypis tłumacza]

miejscu), iż droga, jaką obrałem, nie posłuży, aby mnie uczynić znacznym w świecie, ale nie mam też żadnej chęci po temu. Bardziej będę zawsze obowiązany tym, dzięki którym lasce będę mógł zażywać bez przeszkód mego wczasu, niż tym, którzy by mi ofiarowali najzaszczytniejsze w świecie stanowiska i godności.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rozprawa-o-metodzie>

Tekst opracowany na podstawie: Descartes, *Rozprawa o metodzie dobrego powodowania swoim rozumem i szukania prawdy w naukach*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Kraków: G. Gebethner, Warszawa: Gebethner i Wolff; Poznań: M. Niemierkiewicz, [1918]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Tadeusz Boy-Żeleński.

Okładka na podstawie: René Descartes (edytowany, Frans Hals (1582–1666), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0335-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.